Miesięcznik Książki
Wydawnictwo M. Arcta
Warszawa, Nowy Świat 35
p. k. o. 180-70.
Rok III. Wrzesień 1929. Nr. 9.

RUPERT HUGHES

HOLLYWOOD

Remember Steddon, córka pobożnego pastora w małem miasteczku, rzuca dom rodzinny, aby na dalekim świecie próbować szczęścia. Mem — tak ją bowiem nazywają rodzice — ucieka, aby ukryć swą hańbę, czuje się bowiem matką, a narzeczony jej ginie w wypadku samochodowym. Za poradą doktora, znajomego i przyjaciela rodziny, wyjeżdża Mem na południe, stamtąd zawiadamia rodziców o fikcyjnym ślubie z p. Janem Woodville. Zmuszona dbać o siebie, dostaje się Mem do grona artystów kinowych, gdzie jej się udaje odegrać znakomicie powierzoną sobie przypadkiem rolę. Tam też poznaje sławnego „gwiazdora" Toma Holby'ego, z którym następnego dnia spotyka się rano w hotelu, do którego zajechali zmęczeni filmowaniem artyści.

— Ja już skończyłam z tem raz na zawsze.

— Takie gadanie! — zaśmiał się — nie dziwiłbym się, gdyby się pani odrzekła filmów zrażona takim dniem, jak wczorajszy. Ale to było zupełnie wyjątkowe. Coś podobnego zdarzyć się pani może chyba za tysiąc lat!

— Oh, dzień wczorajszy był wspaniały!

— Więc czemuż pani się nas wyrzeka?

Nie chciała powiedzieć mu prawdy, ani też kłamać, więc zamknęła się milcząco w sobie. On nie chciał przełamywać rezerwy niewieściej (z którą zresztą spotykał się rzadko). Przeskoczył na inny temat:

— Niech pani załatwi się szybko ze śniadaniem, a ja tymczasem wynajdę samochód i pojedziemy do Wąwozu palmowego. Opowiadają o nim cuda. To panią skrzepi, a przytem oszczędzi mi pani nudów w samotności.

Mem zawsze była skłonna do oddawania bliźnim usługi; zresztą nie wiedziała, jak się wymówić od niej grzecznie. Pojechali samochodem, dość rozklekotanym, po drogach wspinających się bystro i ześlizgujących stromo, a wciąż wyboistych. Dziwowała się jego sprawności w kierowaniu wozem. Wytłumaczył jej to z śmiechem:

— Z takiem samem jechadłem musiałem się borykać w ostatnim filmie. Czem ja już nie jeździłem! Powoziłem sześciokonną budą, ściganą po stepach i wąwozach przez Indjan; *koachem*, zaprzężonym w czwórkę po Piątej Avenue new-yorskiej; oślim zaprzęgiem maleńkim w scenie na ulicach Londynu; motocyklem z przyprzążką w Irlandji; łodzią motorową, tramwajem, czołgiem, samolotem, kwadrygą i walcem parowym. A co? Nie zgrabny ze mnie chłopak? Popatrz pani tylko!

I puścił rozklekotane jechadło takim pędem, że zdawało się, iż się wydłuża we wstęgę, lub zawija, jak *lasso*, co nie przeszkadzało Holbemu prawić.

Dojechali też niebawem do Wąwozu palmowego, który pochłonął całą ich uwagę. Zapuścili się głęboko w jego gardziel, ku której spływały z wyżyn rącze strumyki, skacząc wodospadami ze skały na skałę i tworząc sadzawki.

W głębi wąwozu doszli do zagajnika palm, tak gęstego, że liście tworzyły zwarty dach zielony i szemrzący. Mem miała wrażenie, że jest w pustelni, pustelni zaczarowanej, gdy stąpała po opadłych liściach w tym zielonym podcieniu, okrywającym zgraje ptaków, zawodzących wniebogłosy. Usiadła na kamieniu nad brzegiem potoku, a Tom przysiadł się tuż obok. Zaniepokoiło ją tak bliskie sąsiedztwo. On również zmagał się z sobą, nim zdecydował się przemówić:

— Jestem dziś wobec pani zupełnie bezradny. Może pani ze mną czynić, co się jej żywnie spodoba...

Widząc, że Mem nie rozumie, o co mu chodzi, starał się wytłumaczyć:

— Gdy młoda niewiasta zwabi kogoś na takie odludzie...

TREŚĆ NUMERU IX-EGO:

— Zwabi? Ja?

— Mniejsza o wyrazy. Powiedzmy: da się zwabić. Ja chciałbym być pani pomocny, lecz doprawdy nie wiem, czego się trzymać? jak się zachować?

Wobec pytająco zdziwionego jej spojrzenia, plątał się dalej:

— Kim pani właściwie jest? Twarz piękna, słodka, niewinna... Ale takie widzi się u kobiet rozmaitego pokroju. Spotkałem panią, jako pannę Steddon; potem posłyszałem nazwisko Woodville, by w tydzień, czy dwa, odnaleźć ją jako wdowę, poszukującą posady pokojówki. Wszystko to jest możliwe, lecz nie brzmi przekonywająco. Jeśli pani popełniła jakąś zbrodnię, niech się pani ukrywa raczej w ciżbie wielkomiejskiej, bo w tem pustkowiu wpada pani w oczy, jak szczyt San Jacinto. Jeśli pani popełniła zbrodnię, nie wątpię, żeś miała po temu słuszne powody, a nie jestem donosicielem. Więc wyznaj mi pani wszystko: niech wiem, czy mam do czynienia z najchytrzejszą awanturnicą, jaką kiedy bądź spotkałem, czy też ze zbłąkanem, wylękłem i opuszczonem biedactwem...?

W swem zmieszaniu Mem wyglądała rzeczywiście na takie biedactwo. Biła od niej szczerość, a na palcu widniał pierścionek ślubny. Ale on widywał tyle kobiet, żonglujących pierścionkami i grywających wybornie role niewiniątek, — choćby taką Robinę, wyciskającą mu łzy napoczekaniu! — że zawołał niecierpliwie:

— Powiedz mi pani bodaj, czy pan Woodville istniał? Czy pani doprawdy mężatka?

— Czemu pan wątpi? — odparła, odrywając wylękłe oczy.

Spojrzał na nią przenikliwie, poczem wzrok mu złagodniał, gdy jął szeptać:

— Biedactwo... Ale czego pani tu szuka? Przed czem pani ucieka? Czemu kryje się pod przybranem nazwiskiem i nadziewa pierścionek, świeżo nabyty w sklepie?

Mem bezwiednym, szybkim ruchem prawej ręki przykryła pierścionek, utwierdzając tem jego podejrzenie. Była przerażona i napróżno rozglądała się za jakimś sposobem wymknięcia z pod jego spojrzenia, przenikającego ją, jak oko policjanta. Tylko że, zamiast ją aresztować, nakrył jej obie dłonie jedną ręką, a drugą ją opasał i przytulił. Jęła wyrywać się mu, choć czuła w nim przyjaciela, lecz nie nawykła do zawierania przyjaźni tak doraźnie. Wymknęła się wreszcie, zerwała, poczęła biec, płacząc, i omal nie upadła, uderzywszy się o palmę. Lecz on pochwycił ją w ramiona i zaczął błagać:

— Niech mi pani wyjawi całą prawdę. Będę jej przyjacielem; będę jej pomagał. Jeśli czujesz potrzebę, bym cię opuścił, odejdę. Jeśli potrzebniejsze jest, bym cię uścisnął i okrył pocałunkami, i ukochał, uczynię to natychmiast, i jak chętnie! Jeno, na miłość Boską, przemów, a nie stój, jak niemowa drżąca!

Jakże ona pragnęła wyznać mu całą prawdę! Czuła, że okaże jej nietylko przyjaźń, lecz i pomoc uczynną. On chyba nie zgorszy się niczem. Ale coś silniejszego od jej woli zamykało jej usta. Wszak była córką pastora i ona, ona miała wyspowiadać się przed komedjantem filmowym, uczynić z niego swego doradcę i opiekuna! Tak już nisko upadła, że znosiła jego pieszczotę! Na probostwie ojcowskiem była niemal królewną; z dumą też królewny wyprostowała się, zesztywniała i zawołała sucho:

— Pan wybaczy...

Jak policzek, Tom odczuł to szorstkie odrzucenie jego szczerych chęci. Był zły na nią, a zarazem pełen litości. Pragnął ich wzajemny stosunek oprzeć na szczerości i zaufaniu, a ją to obrażało! Zdobył się jeno na ironiczne:

— Przepraszam panią.

— Wybaczam panu, — odparła z naiwną wyniosłością.

Wpół gniewny, a wpół rozśmieszony, chciał jej swą urazę uprzystępnić poglądowo:

— Opowiadają, — rzekł — że, gdy Griffith chciał na twarzy Lilliany Gish wywołać wyraz rozpaczliwego przerażenia matki na widok umierającego dziecka, kazał na nią wymierzyć aparat, a sam chwycił ją za nogi i jął łaskotać podeszwy. Nie wiem, czy to prawda, ale odczuwam coś podobnego. Czy wyglądam na to?

I wykrzywioną twarz wysunął naprzód, by ją dobrze widziała. A Mem zdumiała go ponownie, zapytując z zaciekawieniem:

— Griffith? A kto to taki?

Osłupiał na tak bluźnierczą nieznajomość największego bożyszcza filmowego Ameryki i bąknął tylko:

— No, to już lepiej wracajmy.

ROZDZIAŁ XXII.

Kiedy gromada filmowa opuściła Palm Springs, Mem poczuła się naprawdę samotna i opuszczona. Przy pożegnaniu Tom Holby radził jej dosyć chłodno, by poświęciła się zawodowi aktorskiemu; dyrektor wyraził jej uznanie i przyrzekł zachować ją w pamięci; Leva nietylko zaklinała ją, by jechała z nią do Hoollywood, lecz odebrała i wręczyła jej zarobione na puszczy siedem i pół dolarów. Mem była olśniona wysokością jednodniowego zarobku i obliczała, że przez tydzień mogłaby zarobić więcej, niż jej ojciec przez miesiąc. A jednak oparła się namowom. Przyłączenie się do gromady filmowej wydawało się taką zdrożnością, jak ucieczka z bandą cyrkowców, lub zgoła cyganów.

Znalazłszy się samotna w obcem miasteczku pośród pustyni, Mem gorączkowo zabiegała o znalezienie jakiejś służby i znalazła ją u miejscowego sklepikarza. Licho płatna, zabrała się gorliwie do spełniania żmudnego obowiązku służącej, który wydał się jej bardziej tragicznym od tragicznej roli, odegranej na puszczy.

Mem miała teraz więcej wolnego czasu i korzystała z tego, by obmyśleć list do rodziców. Cała jej wyprawa na Zachód i wszystkie dotychczasowe przejścia były tylko wstępem do tego listu, który zapewnić jej miał możność powrotu do domu. A jednak wciąż się z tem ociągała, tak wstrętne jej było okłamywanie ojca. Ale pod naporem przeświadczenia, że bądź co bądź list ten wysłać musi, pewnej nocy zasiadła do stołu i z takim samym rozpaczliwym wysiłkiem i napięciem nerwów, z jakim odtworzyła boleść Arabki na puszczy, odegrała teraz listownie rolę nieszczęśliwej wdowy. Jednym zamachem list skreśliła, zalepiła i wysłała. List opiewał:

„Drodzy Rodzice! Jak znajdę siły, by wam przesłać tę wieść straszliwą! Nie chcę nawet myśleć o tem, a mam to opisać! Mój kochany mąż nie żyje. Skonał pośród piasków. Nie żądajcie ode mnie szczegółowego opisu. Na to nie mam siły, a lepiej i wam oszczędzić boleści. Wiem, że bolejecie nade mną, lecz błagam was, byście opanowali smutek, gdyż i ja prężę siły, by znieść ten cios mężnie. Nie zapomniałam waszych nauk: Pan dał, Pan wziął. Biedny Jaś nie znalazł kopalni, której szukał. Co gorzej, nie znalazł studni, na którą tam liczył. Ja oczekiwałam go w naszem obozowisku przy małem źródełku; czekałam długo, aż nadszedł inny poszukiwacz kruszców i przyniósł wieść żałobną, że znalazł jego zwłoki i pogrzebał. Znalazł go obnażonego, gdyż biedaczysko pozrywał z siebie odzież, oszalawszy z pragnienia. Już od trzech dni nie żył. Nie mogę pisać więcej. Nie potrzeba mi pieniędzy. Powrócę do was, gdy odzyskam siły. Klimat tutejszy przywraca mi zdrowie, wbrew nieszczęściu, które na mnie spadło. Nie trapcie się o mnie. Dam sobie radę i napiszę wam wszystko obszernie, skoro tylko gdzieś osiądę. Kocham was teraz, jak nigdy, wasza córka — Mem".

Wrzuciwszy list do puszki, Mem spostrzegła się dopiero, że stempel pocztowy zdradzi jej miejsce pobytu. Cóż to szkodzi? Wszak jest już wdową i może wracać do domu. Tak, lecz w takim razie grać będzie musiała dalej w domu swą wstrętną rolę. Juźciż pragnęła opieki macierzyńskiej przy zbliżającem się przejściu; bardziej wszakże lękała się kłamania przed poczciwem obliczem ufnego ojca.

Góry działały zawsze wabiąco na jej wyobraźnię i pewnego popołudnia, gdy zachmurzone niebo nie paliło zbytnio spiekotą, nie oparła się pokusie. Puściła się w stronę gór z zamiarem dotarcia tak daleko, jak zajść zdoła bez wyczerpania. Gdy wspinała się dość wysoko, by obejrzeć się w dół na liściastą strzechę miasteczka, ogarnął ją strach i zawrót.

Samotność na tej wyżynie była przejmująco okropna. Coś jej szeptało: „Powracaj!" Póki mogła, zwalczała tę chętkę, jako sła-

bość, przeszkadzającą jej w osiąganiu zamierzeń; musiała jednak dać za wygraną i zawrócić. Ale, gdy spojrzała na spadzistą ścieżkę, przerażało ją bardziej opuszczanie się w dół od spinania w górę. Zawahała się, poczem zebrała odwagę i znów wdrapała się nieco wyżej. Ustała; sił już nie miała na dalsze spinanie, ani odwagi na drogę powrotną. Słońce doskwierało boleśnie, jakby oblewając ją żółtym ukropem, wwiercając się w skórę, smagając po głowie i przywierając do pleców szczypiącą wezykatorję.

Okrążyły ją upiory wyżyn. Chciała wołać o pomoc—do kogo? Kamyk usunął się z pod jej stopy i poderwał jej oparcie. Zachwiała się, pochwyciła — próżnię, zakręciła się, padła, — odbijając się od skały do skały, leciała, spadała, aż cios jakiś potężny, ogłuszający sprowadził ciemność i ciszę.

ROZDZIAŁ XXIII.

Młoda Indjanka, poszukująca zbłąkanego źrebca, spojrzała przypadkiem w górę i na zboczu skalnem zauważyła postać niewieścią, chwiejącą się, zataczającą i spadającą z urwiska. Pobiegła do najbliższej osady z opowieścią, co widziała. Pierwszy zdybany mężczyzna wypytał najpierw o wysokość, z jakiej owa niewiasta spadła, poczem zawyrokował, że zabiła się na miejscu. Miał wszakże wątpliwości. Różnie bowiem bywa. Przed dwoma tygodniami inna niewiasta rzuciła się z tej samej skały w celu samobójczym i spadła na miękki piasek tak szczęśliwie, że na dole znalazła się na tym samym świecie, z którego chciała się wyrwać szalonym skokiem, jeno z dodatkiem nowych sińców i strapień. Gdy dobiegli na miejsce wypadku, znaleźli Mem nieprzytomną, lecz żywą, pomimo wielu pokaleczeń i połamań.

Rozpoznano ją i odwieziono do domu, gdzie miejscowy lekarz zaopiekował się nią troskliwie. Znał ją z widzenia i wiedział, że była wdową. To też, gdy odzyskała świadomość, pierwszą jego myślą było przygotować ją na złą nowinę.

— Czyż pozostanę kaleką? — zawołała przerażona.

— To nie. Co więcej, rany goją się tak pomyślnie, że wypadek nie pozostawi na ciele śladów widocznych. Ale pod innym względem musi pani wyrzec się nadziei...

Ona nie odzyskała jeszcze przytomności w całej pełni, a lekarz wyrażał się ostrożnie, więc nie odrazu zrozumiała, że chodzi tu o oczekiwane macierzyństwo. Gdy zrozumiała, zdziwił się spokojowi, z jakim zniosła unicestwienie swych nadziei.

Sklepikarz ze swą żoną zajęli się nią serdecznie i pieczołowicie. List z domu, zamiast ją ucieszyć, napełnił ją strachem; był adresowany do „pani Janowej Woodvillowej", cały napisany przez matkę, z długim dopiskiem ojca. Pastor zaopatrzył list dopiskiem, pełnym szczerego smutku, litości i miłosnego współczucia; zapewniał córkę, że codziennie zanosić za nią będzie gorące modły do Najwyższego. Czytając, Mem widziała siwą głowę ojca kornie pochyloną w modlitwie żarliwej. I teraz uczuła wstyd jeszcze żywszy: skutkiem wypadku odpadł powód, dla którego cały ten kłamliwy spisek uknuła, — pozostało samo kłamstwo. Czy ośmieli się spojrzeć ojcu w oczy kiedykolwiek?

Nie; sama skazała się na wygnanie, którego samotność dolega jej do głębi. Straciła narzeczonego, dziecko, rodzinę, nawet to ukochane otoczenie, które niosłoby jej ukojenie już samym szumem drzew starych, przyjaciół dzieciństwa; tutejsze drzewa były jej obce. W tem przygnębieniu napisała długi list do matki, który wysłała na ręce d-ra Brethericka. Pożałowała tego natychmiast, lecz już za późno. Martwiła się, przewidując różne złe skutki przerażenia listem matki; nie przewidziała tylko tych, które miały się przydarzyć.

Wyzdrowiała dość rychło. Ostatki pieniędzy poszły na koszty leczenia i pozostała bez grosza. Stopniowo podjęła swą pracę, jako pokojówka, w miarę jak powracały jej siły, lecz przezwyciężyć nie mogła wstrętu do tego zajęcia. Chlebodawcy okazali jej niezmienną życzliwość, lecz sami żyli w biedzie i wymagać musieli ciężkiej pracy. Przeszłość dręczyła ją nieustannie, a przyszłość niepokoiła, jak pustynia, najeżona kolcami kaktusów. Była wyrobnicą u biedaków, osiadłych w wypalonej słońcem osadzie, opuszczonej przez wszystkich, którzy mogli dokądś uciec.

W owym czasie otrzymała list od „nadliczbowej" Levy, która w jakimś dzienniku wyczytała wiadomość o wypadku i cudownem ocaleniu „pani Woodvillowej". Leva wyrażała jej swe współczucie i nadzieję, że w tym wypadku jej piękność nie poniosła szwanku.

„A gdyby nawet, — pisała dalej — to i tak mogłaby pani znaleźć zajęcie przy filmach. Ja naprzykład wyrzekłam się karjery aktorskiej i teraz zajęta jestem w pracowni fotograficznej przy retuszowaniu filmów. Praca zajmująca, a siedzi się spokojnie w chłodnym pokoju, zamiast prażyć się po piaskach pustynnych. Gdyby pani tu przyjechała, i dla niej coś się znajdzie. Hoollywood jest dziś jedynem miejscem na świecie, kipiącem życiem. A pani, ze swem wykształceniem, pięknością i wdziękiem, marnieje tam w zamarłej dziurze! Niech się pani zabiera i przyjeżdża. Ja swoją trójkę dzieciaków odesłałam na wieś do siostry, więc mam dosyć miejsca, by panią ugościć"...

ROZDZIAŁ XXIV.

Następnego już ranka Mem wsiadła do autobusu, który przez wyblakłe w słońcu pustkowia zawiózł ją do Whitewater, gdzie przesiadła się do pociągu, by stopniowo zagłębiać się w coraz to żyźniejsze doliny, umajone gajami cytrynowemi, okrytemi równocześnie i kwiatem i owocem. Mijała zielone ogrody pomarańczowe, nakrapiane złotemi kulami, plantacje orzechowe, oliwne i migdałowe i zagajniki róż rozkwitłych, ciągnące się wzdłuż dróg całemi milami. Miała wrażenie, że zbliża się chyba do raju.

I wkońcu dojechała do raju, czy do Babilonu, jak ojciec jej przezywał ten „przybytek szatana": Los Angeles — Hollywood. Pomimo szczupłości funduszów zdobyć się musiała (pierwszy raz w życiu!) na zbytek taksówki, w której truchlała, przewijając się w tłoku ulicznym szalonym pędem; niedarmo Los Angeles chlubiło się największą ilością wypadków samochodowych w świecie. A równocześnie truchlała na widok taksometru, w którym z zawrotną szybkością centy przemieniały się na dolary. Taksówka przejechała przez tunel nieskończonej długości i nieskończenie długim bulwarem wydostała się w dzielnicę małych domków, otoczonych ogrodami z roślinnością bujną, iście tropikalną. Jechała ulicami o nazwach hiszpańskich, pięknie brzmiących, tak długo, że już myślała, iż Los Angeles rozrosło się aż po San Francisco. Rzeczywiście, miasto było tak szeroko rozsiadłe, a ogrody, w których kryły się małe domki, tak rozległe, że (wedle określenia jednego z pisarzów) „widziało się miljon białych domków, a ani żywej duszy, wchodzącej, lub wychodzącej".

Wkońcu, skręciwszy w prawo, taksówka zatrzymała się przed maleńkim pałacykiem o pięciu pokojach. Mem uiściła suty haracz kierowcy i ze swą torbą znalazła się przed furtką ogrodową. Więc tak wyglądał domek „nadliczbowej" Levy!

Zadzwoniła. Od służącej posłyszała, iż pani niema w domu i że wróci dopiero wieczorem.

Kiedy Leva i jej towarzyszki powróciły w porze obiadowej, zachowywały się, jak grono kawalerów, utrudzonych pracą biurową, a nie mogących oderwać od niej myśli. By się rozerwać, pierwsza z powracających, nim spojrzała na Mem, nastawiła gramofon na muzykę jazzową; druga wpadła do pokoju krokiem tanecznym, i zaraz rozpoczęły się pląsy. Mem miała wrażenie, że znajduje się pośród jakichś wyuzdanych Cyganek, gardzących przykazaniami przyzwoitości. Nie wiedziała, że wszystkie te „Cyganki" były rodem z takich samych miasteczek, jak ona, i wzrosły z temi samemi uprzedzeniami, które potem odrzucały, jedno za drugiem, jak pływak odrzuca szaty, w którychby utonął. Nie wiedziała też, że to wyuzdanie było pozorne i osłaniało często wewnętrzne poczucie przyzwoitości, nie zawsze spotykane tam, gdzie przestrzegano przedewszystkiem pozorów.

Skoro zjawiła się Leva, powitała Mem, jak rodzoną siostrę, straconą od lat z oczu, a nie jak przypadkową znajomą, spotkaną przelotnie na pustyni. Nim się Mem obejrzała, już torbę jej wypróżniono, już miała

swe łóżko, nakryte pstrą kapą indyjską, przy łóżku cały kosz owoców, a miejsce przy stole umajone narączkami kwiatów. Towarzyszki Levy wracały jedna za drugą, ta samochodem własnym, tamta autobusem pracowni filmowej, zabierającym ją rankiem, a odwożącym wieczorem, — w Los Angeles odległości są przeraźliwe — a każda przynosiła nowy zapas ochoty i wesołości serdecznej, jakgdyby były nawskroś przesiąkłe słońcem, a serca miały tak wielkie, tak złote i tak soczyste, jak pomarańcze kalifornijskie, rosnące pod tem błękitnem niebem.

Niebo nad Los Angeles bywało zawsze pogodne, natomiast ekonomiczny horyzont nie był tak bezchmurny. Przesilenie gospodarcze, odczuwane w całym świecie, wdzierało się i do raju kalifornijskiego. Pracownie filmowe zamykały się jedne po drugich. Rzekomi miljonerzy szukali pożyczek na wypłatę gaż bieżących. Gwiazdy, zarabiające po dziesięć tysięcy dolarów tygodniowo, znajdowały się z dnia na dzień bez zajęcia i zastawiały kosztowności, by pokryć dachem niedokończone pałace; filmy urywano w połowie. Niższego rzędu pracowników, zwłaszcza nadliczbowych, wydalano całemi hufcami.

Leva i jej towarzyszki nie były też pewne jutra i obcięcie zasług powitałyby z radością, jako odroczenie wyroku śmierci. Posłyszawszy to, Mem, która zjechała pełna najróżowszych nadziei, tak pobladła z przerażenia, że Leva jęła ją uspokajać z ufnością, której nie odczuwała:

— Niech się pani nic a nic nie trapi! U nas zawsze coś się znajdzie. To prawda, że pracownie wyzbywają się sił doświadczonych, lecz równocześnie przyjmują czasem nowe. Zaraz jutro rozmówię się ze swym szefem, a tymczasem masz pani zapewniony dach nad głową i utrzymanie, póki my nie jesteśmy na bruku. Nieprawdaż, moje przyjaciółki?

Przyjaciółki przytakiwały z zapałem istot przywykłych do odkładania strapień i kłopotów do jutra, z ufnością, że ono nigdy nie nadejdzie. Oswojone były z przygodami, a niedostatek nie tamował ich gościnności szczodrej. Zarady na strapienia szukały w tańcu i zaraz po obiedzie gramofon zabrzmiał foxtrottem, do którego zaproszono i Mem. Ta nigdy dotąd nie tańczyła. Jej ojciec potępiał tak zdrożną rozrywkę, którą wybaczyć można było innym, lecz córce pastora — przenigdy! Nie dano jej jednak sposobności i czasu, by się od tańca wymówić. Przyszłe koleżanki pochwyciły ją w ramiona i siłą pociągnęły w pląsy. By ich nie obrażać i nie zrażać, Mem zaczęła naśladować ich podskoki, a że miała wrodzony wdzięk i nieświadome poczucie rytmu, niebawem krążyła już wcale swobodnie po pokoju. Dopuszczała się niezręczności, wywołujących jeno śmiechy, jednocześnie ulegając porywowi, który ją upajał, zamraczał i tchu pozbawiał, lecz i napawał szaloną radością. Nauczyła się nowego alfabetu, w którym popełniała błędy i w gramatyce i w pisowni, lecz zaczynała już wyrażać się nim płynnie. Niebawem nadjechało samochodem paru młodzieńców z zaprosinami na tańce do hotelu Hollywood. Mem, oczywiście, odmówiła i oczywiście nie zważano na jej odmowę.

— Wszak dzisiaj czwartek, — tłumaczyła jej Leva — a we czwartek byłoby grzechem tam się nie pokazać. Wszyscy tam będą. Jak nic, spotkać tam można człowieka, co da pani zajęcie.

Jeden z młodzieńców (który na ekranie handlował swą dziarskością męską) przyskoczył do Mem i porwał ją do tańca, ująwszy mocno w ramiona. Z wyjątkiem Farnabego, nikt jej tak nie obejmował (Holby na pustyni próbował, lecz zaniechał przy pierwszym sprzeciwie). Gdy młodzieniec przyciskał ją z zapałem rozbrykanego satyra, jęła się zżymać tak wyraźnie, że ją wypuścił, uniżenie przepraszając, czem wprawił ją w jeszcze większe zakłopotanie. Poczuwała się do winy psucia niewinnej w gruncie zabawy i, by się uspokoić, wybiegła do *patio*.

W sercu jej kiełkowała obawa, że to nowe życie nie jest pewno bez zarzutu; lecz czy życie dawne było od niego wolne? Dybać będą na nią nowe niebezpieczeństwa; lecz czy przed niebezpieczeństwem ustrzegła się w domu? Poczuła wolność i wdychała ją całą piersią. Wyrzekła się przeszłości, postanowiła nie uginać więcej karku pod brzemieniem wyrzutów, lecz iść wprzód z podniesionem czołem, — biec, hulać, błyszczeć urodą, zdobywać bogactwo i sławę.

Nazajutrz Mem, uzbrojona w wyprawę oblubienicy biurowej, udała się z Levą do pracowni, której szef zaangażował ją z miejsca do oddziału fotograficznego z płacą 25 dolarów tygodniowo. A setki pięknych artystek pozostawały bez zajęcia, gdyż odrazu chciały zdobyć dostatki i rozgłos. Mem dziwowała się rozmiarom pracowni. Przedsiębiorstwo rozporządzało kapitałem 13 miljonów dolarów, a zeszłoroczny jego dochód brutto wynosił 8 miljonów. Nie upłynęły jeszcze dwa dziesiątki lat, w przeciągu których z zabawki dziecinnej filmy stały się piątym z rzędu co do wielkości przemysłem świata. Mem została tego przemysłu służebnicą, nie — sztuki kapłanką.

ROZDZIAŁ XXV.

Całemi dniami Mem przesiadywała teraz w ciemnej izbie, wyświetlając ruchome obrazy na maleńkim ekranie. Zadaniem jej było wyławianie błędów druku, błędów gramatycznych, pisowni, interpunkcji i zgoła wszelkich omyłek. Na to wystarczało zupełnie jej wykształcenie w szkole powszechnej, choć nie było tak rozległe i wszechstronne, jak to Leva naopowiadała kierownikowi pracowni. Z czasem rozszerzono zakres jej działania na śledzenie skaz na filmie, podrapań, plam od kurzu, wad w odbiciu i cieniowaniu i tysiącznych innych niedomagań w technicznem wykonaniu. Prócz Mem pięć młodych niewiast zajętych było tą samą robotą, każda pogrążona w ciemności ze świetlnym ekranikiem przed oczyma. Na końcu pracowni znajdował się ekran większych rozmiarów dla użytku szefa, uczonego specjalisty, który ze swymi pomocnikami, a czasem i z dyrektorami omawiał zagadnienia fotograficzne, wymagające natychmiastowego rozwiązania. Mem zrazu nie rozumiała ich technicznego szwargotu, lecz wsłuchiwała się weń tem zawzięciej, że uparła się, by nowy swój zawód opanować wszechstronnie.

A był to zawód i zajmujący i pochłaniający. Młodociane prządki wysnuwały z sześciu kądziel przedziwne i przerozmaite historje, każda na swoje wrzeciono. Obowiązkiem Mem było wprawdzie skupianie całej uwagi na ekran własny; ale jak tu nie rzucić okiem na obraz sąsiadki, na którym przewalała się woda wartkim prądem, z hukiem niemal że słyszalnym, miotając wątłem czółnem z wylękłą niewiastą, aż łódź się wywróciła, pogrążając niebogę we wzburzone nurty (opowiadano, że wielka Mary Alden spędziła trzydzieści minut w tym lodowatym odmęcie, nim pochwycono zadowalające zdjęcie). I zaraz ta sama białogłowa popadała w inne, srogie niebezpieczeństwa (jakgdyby Mary Alden miała siedem dusz, których jedną śmiercią nie umorzy!). Na innym obrazie, w jakiejś jaskini chińskiej, policjanci zmagali się z piratami, rozbijając o ich głowy sprzęty, przecudnie rzeźbione, i strącając z balkonów parawany o dziwnych haftach i jeszcze dziwniejsze posągi bogów.

Długo Mem była, jak wniebowzięta w nieustannym zachwycie. Stopniowo jednak ta rozkosz przemieniała się w boleść, a boleść w zazdrość. Wszak i ona była młoda, a wszyscy ją zapewniali, że i piękna. Już nie czuła urazy i wstydu, gdy wzbudzała podziw swą urodą. Co dawniej wydawało się jej wstrętnem, teraz jej się uśmiechało. Bóg chyba na to dał jej krasę, by nią oczy ludzkie cieszyła. Skoro dał jej dar odtwórczy, to snać na to, by się nim posługiwała. Raz grała wobec aparatów, tam na puszczy. Pomni, jak zawładnęła nią jakaś moc z zewnątrz. Łzy popłynęły same; łzy zwilżyły powieki patrzących. Zakosztowała słodkiej trucizny zastępczego bólu. A teraz siedzi jeno w ciemności i patrzy na zwoje zdjęć, dokonanych z innych! Nie, to jest niesprawiedliwe, krzywdzące, okrutne...

ROZDZIAŁ XXVI.

Siedząc w ciemnej pracowni przed swem magicznem okienkiem, Mem oglądała niekończącą się nigdy procesję różnorodną. Przeciągali przed jej oczyma ludzie źli i dobrzy, bogacze, biedaki, rodacy, cudzoziemcy, wieśniacy, mieszczuchy, tubylcy wszelkich klimatów, wieków i obyczajów, zwierzęta i ptaki, konie u pługa i pod zawadjackimi cow-

boyami, lwy, wilki, grzechotniki i — dzieci. Najbardziej pociągały ją dzieci; wszystkie, tak w aksamitach jak w łachmanach.

Opowiadano jej, że pięcioletni Coogan darował matce samochód za siedem tysięcy dolarów; że pobierał 1750 dolarów tygodniowo. Przychodził jej na myśl mały obszarpaniec, Terry Dack, ze swym wózkiem rozchwierutanym, w którym woził bieliznę i brudy. Wiódł posępne życie na skraju pustyni, opromienione jeno nieokielznaną wyobraźnią urodzonego artysty. I litowano się nad „biedactwami, wyzyskiwanemi w wytwórniach filmów“! Mem zapragnęła, by jej ukochany Terry mógł wzbudzać taką litość.

Nie namyślając się, siadła i napisała do zacnej praczki, by co tchu przyjechała z synkiem do Los Angeles. Niech pożyczy lub wyżebrze potrzebne pieniądze, a ocali cudowne dziecko od zmarnienia w zapomnieniu. Wiedziała, że tym listem ujawni swą tajemnicę: swoją łączność ze światem filmów; wolała przecież siebie narazić, niż przyszłość Terrego. Jej tkliwość macierzyńska przeszczepiła się na cudze dziecko, iż drogie jej było nad wszystko. By skłonić matkę do ryzykownej wyprawy, oświadczyła, że sama osobiście przedstawi Terrego kierownikowi pracowni, jakgdyby w niej była osobą ważną i wpływową.

Nazajutrz po wysłaniu listu zwolniono ją z obowiązku. Przesilenie ogarnęło i tę wytwórnię; oparły się mu ledwie dwa, czy trzy przedsiębiorstwa, zredukowawszy personel do minimum. I teraz zaczęła tęsknić za pracownią, o której wpierw wyrażała się z przekąsem. Tęskniła za tą ciemnią z świetlnemi okienkami na świat cały; za tą czarodziejską „kąpielą“, w której rozczynie wylęgały się drobniutkie obrazki na taśmach-wężach; za ponuremi izbami czerwonemi, gdzie maszyny drukarskie warczały; za rozległemi suszarniami, w których kręciły się wiatraki, objuczone kaskadami filmów. Wygnano ją z tego raju! Cóż z tego, że może teraz wysypiać się dowoli, że nie potrzebuje pędzić do zegara kontrolnego, skoro i do kasy nie ma chodzić poco! A miała nietylko długi za suknie (już dobrze przechodzone), lecz i łaknącą oskomę na strawę codzienną. Towarzyszki też utraciły zajęcie, co uprzykrzało ich gościnność.

By czemś zapełnić gnuśny żywot, tańczyły całemi dniami. Wieczorami przychodzili młodzieńcy, nie mający za co zabawiać się inaczej, i znów tańczono dalej, iż Mem wyćwiczyła się znakomicie w pląsaniu. Uczyła się też gry w golfa i tennisa. Obznajomiła się nawet nieco z jazdą konną, dzięki aktorce, co za pomyślnych czasów urządziła sobie stajnię i ujeżdżalnię, a teraz rada była, że koleżanki pomagały jej w jarowaniu wierzchowców. Jeśli nie odrazu nauczyła się pływać, to przynajmniej nauczyła się nowomodnego sposobu zażywania kąpieli.

Poczuła się panią swego ciała i swojej duszy. Co więcej, czuła, że i ciało jej i dusza są dobrem wspólnem; że jej obowiązkiem jest rozwinąć w całej pełni tak wdzięk i zwinność, jak napięcie wyobraźni, by dać swym bliźnim chwile szczerej radości i chwile rozkosznego smutku. A wielkie gromady bliźnich odwdzięczą się jej za to sławą i majątkiem.

ROZDZIAŁ XXVII.

Dni mijały jej na zabawie, na kąpielach, tańcach, przechadzkach, przejażdżkach, śpiewach i śmiechu. Ale wesołość, jako odtrutka na dolegliwe próżniactwo, działała, jak każdy narkotyk: pozostawiała niesmak, ckliwość i mdłości. Juści ani myślała o powrocie do dawnego, spokojnego życia w miasteczku; to wydawało się jej największem marnotrawstwem; pragnęła nie próżniaczej zabawy, lecz pracy, dokonywania, zdobywania.

Takie myśli przeżuwała z goryczą, siedząc raz w parku nad jeziorem i przyglądając się, jak przechodnie zatrzymywali się, by karmić ptactwo. Mem myślała właśnie, iż nadejdzie może chwila, że i ona zapomni o wszystkich innych względach, byle dorwać się okruchów chleba, kiedy smutne dumanie przerwał jej okrzyk:

— Kogo, jak kogo, ale panią tutaj spotkać, panno Steddon!...

I z wyciągniętemi ramionami biegła do niej stara znajoma, pani Strugs, która niedawno opuściła miasteczko i parafję jej ojca, by chorego męża wywieźć w ożywczy klimat Kalifornji. Pierwszem uczuciem Mem była radość z odnalezienia kogoś ze stron rodzinnych, a drugiem strach, że znów będzie musiała wywijać się i kłamać. Obawa ta okazała się płonną. Pani Strugs zachowała w zmienionem środowisku niezmienioną duszę małomiasteczkową i plotkarską. Zapytała oczywiście o zdrowie rodziców, lecz, nie czekając odpowiedzi, terkotała dalej:

— Więc i pani tutaj? Właśnie wczoraj mówiłam mężowi, że każdy tutaj zawita, wcześniej czy później. Ładne miasto, niema co mówić, i ludzie nieźli i przyzwoici. Nie mówię oczywiście o tych bezwstydnikach od filmów... Wie pani, nie dawniej niż onegdaj mówiłam mężowi, że Pan Bóg najlepiej wie, co robi, cierpiąc na świecie tę obrzydliwą hałastrę. Bo i ja lubię czasem pójść sobie do kina, rozerwać się i pośmiać, ale zadawać się z tem tałałajstwem aktorskiem, uchowaj Boże! Wie pani, co o nich opowiadają? Ja wiem najlepiej. Bo teraz mamy już dom własny (za dwa lata spłacimy ostatnią ratę), lecz wpierw odnajmowaliśmy mieszkanie od takiego pana, co miał przyjaciela, u którego mieszkali ci obrzydliwcy od filmów. Co pani powie na to, że takie, nieprzymierzając, prosto od krów cowboye zarabiają po tysiąc dolarów na tydzień, sprawiają sobie pierścionki z brylantami, mieszkają po pałacach, konno wjeżdżają do salonów i dla psoty strzelają z rewolwerów do porcelany! Święta prawda! A te aktorki, lafiryndy jakieś, którym płacą góry złota za zawracanie oczami! Stać te wszetecznice na udawanie matron, a chyłkiem to taka rozpusta, że jeno obraza Boska! Święta prawda. I policja w to nie wkracza! A najgorsze, to zatracanie tych tysięcy dziewcząt, co tu zjeżdżają za chlebem. Mojemu mężowi opowiadał przyjaciel, a mąż powtórzył mi w zaufaniu, że ani jednej — słyszy pani, ani jednej! — nie przyjmą do filmów, póki się nie zaprzeda! Te dyrektory wszystkie takie sprośne! Uczciwej dziewczyny nie przyjmą — święta prawda! — póki nie zaprzeda im swej duszy nieśmiertelnej! Pani nie wierzy? Nie dziwota; pani wychowana w niewinności. Ale mężowi opowiadał przyjaciel, co słyszał na własne uszy. Powiadam pani, święta prawda, — istna Gomora! Dusze na przedaj! Ale mój tramwaj już nadjeżdża. Zobaczymy się znowu... Dowidzenia!

Pani Strugs wyrażała się z taką siłą przekonania, że Mem ani myślała podawać jej twierdzeń w wątpliwość. Wszak ona tu mieszkała i patrzyła na wszystko własnemi oczyma. Dusze na przedaj! Więc taką jest tajemnica powodzenia w świecie filmów; więc dlatego jedne dziewczęta otrzymują odrazu role popisowe i wysokie płace, a inne doprosić się nie mogą przyjęcia bodaj na nadliczbowe! I ona w swej głupiej naiwności ani o tem pomyślała. I jak ongiś kazania jej ojca o bezeceństwie filmów sprawiły, że poczęła marzyć o Hollywood, tak teraz jeremjady pani Strugs podszeptywały jej sposób, jak w świecie filmów zyskać powodzenie.

Juścić chciała grać, chciała wybić się w Hollywood, zyskać tu rozgłos i majątek. Chciała osiągnąć to za każdą cenę. Czy za każdą? Dotąd nie myślała o tem, że piękność jest towarem pokupnym. A tu dowiaduje się, że ten towar sprzedaje się tutaj, jak na giełdzie, i po takiej właśnie cenie, jaką ona pragnie osiągnąć. Czy jej towar okaże się dostatecznie pokupny? Siedząc na ławce, poczęła zwracać uwagę na spojrzenia, któremi zerkali na nią przechodnie. Uważała je dotąd za obrydną obelgę, za nieme zapytanie, czy nie byłaby skłonna do lichego grzechu? czy nie dałaby się skusić lichą zapłatą? Gdyby jednak w ten sposób znalazła drogę do sławy, gdyby sławę okupiła wstydem? Czy byłoby to za drogo? A gdyby... to do kogo się zwrócić?

Jęła nad tem rozmyślać i przypomniała sobie, że raz do natłoczonej pracowni przyszedł jakiś pan uprzejmy i, szukając miejsca, zapytał, czy może się przysiąść do stołu, przy którym siedziała wraz z Levą i inną koleżanką, i przedstawił się, jako Artur Tirrey. Zawiązała się wesoła rozmowa, wśród której pan Tirrey zapytał:

— Czemu tu panie kiśniecie w tej ciemnej norze? Jeśli chcecie, dam wam jakieś rolki w najbliższym filmie.

Propozycję tę jej towarzyszki zbyły śmiechem. Jakoś nie miały ochoty do ukazywania się na ekranie. Teraz Mem przypomniała sobie, że ów pan Tirrey był dyrektorem zespołu aktorskiego, św. Piotrem, dzierżącym klucze od filmowego nieba, wszechmocnym mężem, którego słowo decydowało, czy jakaś kandydatka zostanie przyjęta, jaką otrzyma rolę i jaką zapłatę. W oświetleniu pani Strugs to jego ówczesne zapytanie nabierało nowego, wyraźnego znaczenia. To była widocznie propozycja, zwrócona do „dusz na przedaj". A pan Tirrey pozostał w jej pamięci jako człowiek wcale miły i przystojny.

Mem powróciła szybko do domu. Ucieszyła się, że nie zastała w nim nikogo. Jak ma się ubrać na tę ryzykowną wyprawę? Nie wahała się długo, gdyż miała jedną tylko ładną suknię. Przybrana w nią, stanęła przed zwierciadłem, by wypróbować swe najponętniejsze uśmiechy. Nie była zadowolona: zwierciadło odbijało twarz śmiertelnie bladą, niemal tragiczną, pomimo „ponętnego" wykrzywienia. Sięgnęła do zapasów Levy po puder i karmin, wybiegła i siadła do tramwaju.

Droga była daleka i trzeba było przesiadać się parokrotnie. Zdążyła do pracowni późno, gdy już kończyła się praca. Odźwierny, znając ją, wpuścił ją bez trudności i wskazał biuro pana dyrektora zespołu. Ten przerwał rozmowę ze swym pomocnikiem i powitał ją uprzejmie. Gdy go poprosiła o rozmowę na osobności, wprowadził ją do gabinetu, zawarł drzwi, wskazał jej krzesło i usiadł za swem biurkiem. Mem już otworzyła usta, gdy telefon zawarczał. Pan Tirrey komuś odpowiadał: „Żałuję mocno. Ta rola już obsadzona. Pani była zbyt wymagająca. Radziłem jej spuścić nieco ze swych żądań. Darmo, czasy ciężkie. Proszę o tem pamiętać następnym razem. Żałuję niezmiernie. Dowidzenia". Zwrócił się do Mem, lecz znów telefon go odwołał. Tym razem była to rozmowa z naczelnym dyrektorem, robiącym trudności w przyjęciu jakiegoś aktora, którego Tirrey zaangażował. Omawiali jego zalety i wady, jakgdyby chodziło o konia. Tirrey upierał się, że aktor nadaje się do tej roli, gdyż wytworny strój umie nosić wytwornie, jak prawdziwy gentleman; przytem udało się pozyskać go tanio, gdyż ma żonę chorą w szpitalu. Z następnej rozmowy telefonicznej Mem dowiedziała się, że zdjęcie próbne panny Glover dało jak najgorsze wyniki, że na fotografji szczerzy zęby pokrzywione, a jej oczy błękitne „fotografują się, jak pomyje"; iżby się bardzo nie zmartwiła, trzeba jej powiedzieć, że może znajdzie się dla niej rola w następnym filmie — na św. Nigdy! Nie był to wstęp zachęcający dla Mem, gotującej się do odegrania roli syreny. A że Tirrey spoglądał czasem na nią ze słuchawką u ucha, wyciągnęła się w krześle z wężowatym wdziękiem Kleopatry, obciągnęła suknię, wysunęła wprzód opończoszone nogi i nadała oczom najwabliwszy wyraz. Ale do biura wpadł pomocnik z oznajmieniem, że naczelny dyrektor zarządził na jutro fotografowanie wielkiej sceny balowej, dla której trzeba zamówić natychmiast 50 aktorów i aktorek, i to takich, co mogą udawać towarzystwo przyzwoite, a nie łapserdaków, jak ostatnim razem. Zaczęło się dzwonienie na dwa telefony. Wylawiano po całem mieście jednego aktora za drugim. Mem słyszała, jak Tirrey udzielał różnym kandydatom serdecznych rad, by nie przeciągali struny, lecz chwytali sposobność, skoro się nadarza. Aż dziwiła się takiej dobrotliwości u takiego — satyra! „Satyr" był dobrze umęczony, gdy ukończył robotę, lecz do Mem zwrócił się tak uprzejmie, jakgdyby była samą Robiną Teele:

— Czem mogę pani służyć?

— Pragnę wystąpić w jakimś filmie.

— W jakim repertuarze?

— W jakim bądź.

— Jaki bądź, to to samo, co żaden. Ma pani jakieś doświadczenie?

Mem nie była przygotowana na takie pytanie; ona inny towar przyniosła tu na sprzedaż. Widząc, że (przynajmniej na początek) zachwalać musi swój towar zawodowo aktorski, zaczęła, jak każdy, co chce coś sprzedać, koloryzować nieco prawdę:

— Grałam w zespole razem z Robiną Teele i Tomem Holbym. Występowałam z powodzeniem w roli Arabki. Dyrektor Folger nie miał dość słów uznania...

— A on zna się na tem. Ale tutaj osądzamy my sami. Pani złożyła oczywiście swoje nazwisko, adres i fotografję w naszem archiwum?

— Nie...

— Od tego musimy rozpocząć. Niech pani wręczy zaraz panu Dobbsowi całkowity swój opis: wysokość, waga, kolor oczu i włosów i wszystkie role. On panią zawiadomi, jak tylko znajdzie się coś dla niej. Narazie niema żadnych wakansów i, jak pani wie, bardzo ograniczamy wytwórczość.

Powstał, jakgdyby na znak, że rozmowa skończona. Ale Mem wybuchnęła:

— Kiedy ja muszę... koniecznie... Gotowa jestem na... wszystko!

— Doprawdy, bardzo mi przykro, lecz nie mogę nic na to poradzić. Nie mogę przecież dać pani roli, gdy nie mam żadnej. Sam panią zaprowadzę do pana Dobbsa, a on...

Już chwytał za klamkę, gdy przyskoczyła do niego, pochwyciła go za ramię, przylgnęła do niego ciałem i, wedle najlepszych wzorów, widzianych na ekranie, wlepiła w niego oczy, przesiąkłe miłosnym jadem zakochanego bazyliszka.

— Ja wiem, co to kosztuje, — wołała — i niczego nie poskąpię. Niech pan tylko skinie, a będę na jego rozkazy. Wszak pan mnie nie odtrąci...

Czy myślicie, że Mem uda się dopiąć swego celu? Narazie jest biedną, głupią dziewczyną, której się zdaje, że do przybytku sztuki dostać się można — podstępem. Czy się tam dostanie prostą uczciwą drogą, pokażą rozdziały następne.

NAOKOŁO TEATRU

Teatry pracują już pełną parą. Wszędzie pełno. Ludzie, którzy przez całe lato oddychali powietrzem gór, morza, pól i lasów, odetchnąć chcą teraz — powietrzem teatru, mającem tyle swoistego czaru i wdzięku, tem bardziej, iż we wszystkich naszych teatrach grają rzeczy nowe, których przed wakacjami nie mieliśmy jeszcze okazji oglądać.

Stoimy więc na początku sezonu bieżącego pod znakiem

Ameryki,

dwa bowiem teatry warszawskie grają z pełnym sukcesem dwie sztuki amerykańskie, na które chodzi „cała Warszawa". Sztuki te to

Artyści W. Hopkinsa

i

Proces Mary Dugan B. Veilera.

„Artyści", grani obecnie w teatrze Polskim, oblecieli przed Warszawą wszystkie niemal sceny europejskie. Specjalnem powodzeniem cieszyła się ta sztuka w Berlinie, gdzie wystawił ją w olśniewający podobnoć sposób słynny reżyser niemiecki, Max Reinhardt. Publiczność europejska, przyzwyczajona do filmów amerykańskich, z przyjemnością chodzi też na tę prawdziwie amerykańską sztukę, w której wszystko kończy się jak najlepiej, w której triumfuje dobro i szlachetność, a pokonane jest zło i zawiść. Pełno przytem w „Artystach" łezki i sentymentu, pełno uśmiechu i gwaru, nie brak piosenki i tańca — ot, wielka rewja kabaretowa, przeniesiona na deski teatru i — prawdziwy teatr, który zawędrował do kabaretu. W rezultacie — o ile grają „Artystów" naprawdę genjalni artyści — przedstawienie żywe, wesołe, zabawne, które przez długie miesiące ściągać będzie do teatru Polskiego tłumy publiczności, żądne tej strawy lekkiej a smacznej. Teatr Polski dał przytem „Artystom" obsadę doskonałą, a kreacje **Marji Modzelewskiej** i **Stefana Jaracza** zapisane być winny złotemi zgłoskami w historji naszego teatru.

„Proces Mary Dugan" gra teatr Letni. Historja to procesu sądowego. Akcja rozgrywa się w sali posiedzeń sądu. Osią jej jest historja młodej dziewczyny, niesłusznie posądzonej o zabójstwo. Wszystkie poszlaki są przeciw niej, ale ostatecznie prawda wychodzi najaw i prawdziwi przestępcy zostają ukarani. Publiczność, która czyta Wallace'a, która nie zapomniała jeszcze Sherlocka Holmesa, musi zachwycać się „Procesem Mary Dugan". Jeszcze po drugim akcie, ba, jeszcze podczas aktu trzeciego zakładali się szeptem ludzie, kto jest prawdziwym zabójcą — czegóż więcej trzeba w sztukach tego rodzaju?

Ale dość już Ameryki! Przyzwyczailiśmy się w sezonie ubiegłym do sztuk polskich i nie mamy bynajmniej zamiaru z przyzwyczajenia tego rezygnować. Z tem większą też ochotą podążamy do teatru Narodowego, aby na

Wiośnie ludów

ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

nałykać się na nowo polszczyzny.

„Wiosna ludów" spotkała się w prasie stołecznej z przyjęciem bardzo niejednolitem. Cały szereg dzienników pominęło ją całkowitem milczeniem, chociaż recenzentów teatralnych tych pism widzieliśmy wszystkich na premjerze. Oczywiście przyczyn takiego postępowania szukać należy wyłącznie na płaszczyźnie spraw politycznych, a więc w zakresie tych spraw i rzeczy, któremi w żadnej formie w „Książkach" zajmować się nie chcemy.

Warszawie przybyła w tegorocznym sezonie nowa placówka teatralna: teatr „Ateneum", mieszczący się w pięknej sali domu kolejarzy przy ul. Czerwonego Krzyża. Właściwie teatr ten istniał już i zeszłego roku, obecnie jednak pod nowem kierownictwem p. **Marji Strońskiej** wykreślił sobie szeroki i ciekawie pomyślany plan działania, dążąc do tego, aby stać się prawdziwym teatrem ludowym w najlepszem i najszerszem tego słowa znaczeniu. Na pierwszy ogień pokazano nam w „Ateneum" sensacyjną sztukę

ELEONORY KALKOWSKIEJ p. t. **Józef**, która w triumfie obiegła niemal wszystkie sceny niemieckie.

P. Kalkowska jest Polką z pochodzenia, piszącą po niemiecku. Jest to autorka niewątpliwie bardzo zdolna, która swoim „Józefem" ugruntowała już na stałe swoją popularność. Treść tej sztuki osnuta jest naokoło słynnego procesu robotnika polskiego Jakubowskiego, który, posądzany o rzekome zabójstwo trzyletniego dziecka Oswalda, skazany został na śmierć i zginął niewinnie pod toporem kata. Skazanie Jakubowskiego, będące niechlubnem zaiste świadectwem dla bezstronności i przenikliwości sądów niemieckich, wywołało w parę już lat po jego śmierci prawdziwą burzę w opinji publicznej i doprowadziło do rewizji procesu i do pośmiertnej rehabilitacji nieszczęsnego Polaka, zagubionego wśród obcych i nie za swoją winę ponoszącego tam śmierć okrutną.

NASZ PLEBISCYT

Ogłaszamy nowy plebiscyt — tym razem jednak plebiscyt, którego rezultaty mają mieć wartość przedewszystkiem dla nas, t. j. dla redakcji miesięcznika „Książki" — mają one określić zasadniczo dalszy kierunek naszego wydawnictwa i ustalić ostatecznie jego typ i charakter.

Miesięcznik „Książki" wychodzi obecnie prawie już rok. Mamy wrażenie, iż w części przynajmniej spełnił on swoje zadanie i dotrzymał obietnic, zawartych w prospekcie: przez cały ten czas dostarczał on mianowicie wiadomości o całokształcie naszego życia kulturalnego, zaznajamiając z jego najrozliczniejszemi objawami tych wszystkich naszych Czytelników, którzy dla braku czasu czy możności nie mieli okazji zapoznać się z niemi bezpośrednio. Teraz chcieliśmy się dowiedzieć, czy tego samego, co i my, zdania o naszym miesięczniku są i jego Czytelnicy, a że zawsze byliśmy zwolennikami możliwie bezpośredniego kontaktu redakcji miesięcznika „Książki" z jego czytelnikami — zwracamy się obecnie wprost do Was, mili nasi Czytelnicy, z pytaniem:

CZY PODOBA SIĘ WAM MIESIĘCZNIK „KSIĄŻKI" I CO W NIM ZMIENIĆ NALEŻY?

Oczywiście, prosimy o odpowiedzi jak najliczniejsze, możliwie wyczerpujące, a przedewszystkiem SZCZERE. Tylko szczera, przemyślana odpowiedź ma dla nas istotną wartość i tylko taka odpowiedź może stać się punktem wyjścia dla dalszej wydatnej pracy.

Nie możemy, oczywiście, obiecać, iż zastosujemy się do wszystkich wskazówek naszych Czytelników. Poddamy je krytycznej rozwadze i ocenie, wiemy bowiem zgóry, iż wszystkich zadowolić nie będziemy w stanie. Prosimy również naszych Czytelników o liczenie się w swoich osądach — z kosztami, jakie ich propozycje muszą pociągnąć. Za cenę 4 zł. rocznie nie można żądać za wiele — prawda?

Oczekujemy tych odpowiedzi ze szczerem zainteresowaniem.

DWIE NAJLEPSZE ODPOWIEDZI BĘDZIEMY DRUKOWAĆ.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 1-go listopada bież. roku. W numerze listopadowym zdamy sprawę z wyników tego plebiscytu. Mamy głęboką nadzieję, iż taka współpraca redakcji miesięcznika „Książki" z szerokiem kołem jego Czytelników da rezultaty bardzo dobre i przyczyni się znakomicie do podniesienia poziomu naszego pisma.

Czekamy na LICZNE, OBSZERNE i SZCZERE odpowiedzi.

Chcemy współpracować z naszymi Czytelnikami, chcemy ich wciągnąć w krąg naszych zainteresowań i zamiłowań.

„Książki" muszą stać się wspólną własnością duchową wszystkich naszych Czytelników.

W CZYTELNI

Czy wiecie, jak wygląda czytelnia? Duże, zawsze ciemne pokoje, na ścianach półki, dźwigające szeregi czarnych, zawsze zniszczonych książek — na stołach katalogi, zawsze w czarnych, zniszczonych okładkach, zawsze brudne i poplamione... Za stolikiem smutna panienka — panienki w czytelni są zawsze smutne. Ten przybytek książki rzadko kiedy bywa wesoły i jasny.

Panienka w czytelni bywa smutna i żałosna, minę ma często zatroskaną i skłopotaną — czy się dziwicie? Niełatwe ma ona przed sobą zadanie. Przyjrzyjcie się publiczności, która przychodzi do czytelni, posłuchajcie, jakie rozmowy tu się toczą, a zrozumiecie, że smutna panienka ma poważne powody do smutku.

Przychodzi starsza jejmość. Taka pani z dawnych, dawnych czasów. Chce książki dla córki, która jest chora i nie może wychodzić z domu.

— Ale żeby to była książka moralna, nie taka, jak to dzisiaj piszą... Żeby tam było napisane, że młoda panienka powinna słuchać matki, że nie powinna przychodzić późno do domu, do kina z młodymi ludźmi nie chodzić, ani na wycieczki w spodniach nie wędrować... Moja pani, słyszała też pani kiedyś coś podobnego: w spodniach w góry poszła...

Smutna panienka pochyla jeszcze smutniej głowę. Onaby także rzuciła teraz najchętniej ten duszny pokój i poszła w góry. Pamięta to lato kiedyś, już bardzo dawno temu, kiedy wśród czarnych smreków tatrzańskich życie uśmiechało się do niej, jak sen z bajki... No, ale trzeba wyszukać ową „moralną książkę", zwłaszcza, że czeka już nowa klientka.

Tym razem typ zupełnie inny. Krótka sukienka, krótkie włosy, umalowane usta, śmiejące się oczy. Miele językiem tak prędko, jakby się bała, że jej ucieknie jakaś chwilka radości i wesela.

— Moja paniusiu złota, książkę proszę, żeby było dużo, dużo miłości. Ale żeby on ją kochał, a ona jego z początku nie... Żeby on do niej strzelał i żeby ona uciekła od niego do Paryża i żeby się wreszcie pobrali i mieli dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę, ale koniecznie z blond włosami... Ja strasznie lubię takie jasne, złote dzieci. A paniusia jakie woli?

I szukajże tu książki z parką dzieci o blond włosach — i z ucieczką do Paryża — i ze strzelaniną...

Smutna panienka z cichem westchnieniem idzie szukać żądanych książek.

— Znowu „Dzikuska" w czytaniu... Tak dawno prosiłam.

— „Nowości" francuskie chyba z przed trzech lat. Nie mają państwo świeższych?

— W ostatniej książce, którą czytałam, brakło trzech kartek w najciekawszem miejscu. Też porządki!

Smutna panienka z trudnością hamuje łzy, szukając książki, w której byłoby „dużo, dużo miłości" i zniszczony egzemplarz „Dzikuski", w którym brak trzech kartek, zamieniając na nowy, kompletny...

Quidam.

Co powinna czytać kobieta współczesna

Tak, właśnie kobieta współczesna, a więc kobieta albo pracująca zawodowo, albo zajęta na serjo wychowaniem dzieci, prowadzeniem domu i stałem a konsekwentnem kształceniem swego umysłu i charakteru, a więc w każdym razie kobieta w ten czy inny sposób pracująca, nie mająca wiele czasu do stracenia, rozumiejąca dobrze wartość każdej zmarnowanej minuty — kobieta taka musi koniecznie przyczytać nową książkę

Kamilli Chołoniewskiej.

Gospodarstwo domowe i kuchnia racjonalna (zł. 5.—),



która ukazała się obecnie w nakładzie M. Arcta. Książka ta przeznaczona jest zarówno dla kobiet, które cały swój czas poświęcają domowi i gospodarstwu domowemu, jak i tym, które, zajęte pracą zawodową, dorywczo tylko i zawsze w pośpiechu mogą zdobyć parę chwil wolnych na sprawy gospodarcze.

„Gospodarstwo domowe i kuchnia racjonalna" napisana jest zrozumiale, przejrzyście i jasno. Młoda gospodyni, żądna wiedzy domowej, zapozna się na zasadzie lektury tej książki z higjeną odżywiania, ze sposobami sporządzania pokarmów, przeprowadzania porządków domowych, prania bielizny i t. p. Nauczy się nadto sposobów racjonalnego wykonywania najprostszych czynności, przez co osiągnie znakomitą oszczędność czasu, sił i energji. Nie trzeba chyba tłumaczyć, w jak wydatnym stopniu prawidłowo funkcjonująca maszyna domowa przyczynia się do spokoju, zdrowia i harmonji wśród członków jednej rodziny.

Na specjalną uwagę zasługują działy, wyjaśniające teoretyczną niejako stronę funkcji odżywiania, a więc zawierające opis składników odżywczych naszych pokarmów, wartości kalorycznych środków żywności, trawienia, ważniejszych środków żywności i t. p., jak również rozważania czysto już praktyczne, tyczące się zagadnień takich, jak racjonalny dobór środków żywności, ilość i pora przyjmowanych potraw, ogólne zasady przyrządzania środków żywności i wreszcie organizacja pracy w gospodarstwie domowem.

Treść „Gospodarstwa domowego" jest bardzo bogata i wyczerpuje całokształt zagadnień domowych. Książka to pożyteczna i praktyczna — znajdzie się też z pewnością w ręku każdej kobiety zapobiegliwej i rozsądnej, niezależnie od tego, czy będzie nią kobieta pracująca zawodowo, czy też t. zw. „kurka domowa".

NASZE

W okresie odzyskania Niepodległości, w 10 lat po odzyskaniu samodzielnego bytu państwowego nadejść musiał czas na uczczenie pamięci tych wszystkich bohaterów narodowych, którzy piórem i orężem, słowem i czynem przyczynili się najpierw do utrwalenia chwały imienia polskiego, a potem do podtrzymania ducha i miłości ojczyzny.

Narzeka się u nas czasami na nadmiar rocznic i obchodów narodowych. Nic bardziej fałszywego! Nasi bojownicy o wolność, nasi bohaterzy walk niepodległościowych ginęli przecież pozornie bez celu i sensu z tą tylko — jakże wątłą! — nadzieją, że potomność, owa szczęśliwa potomność, której kiedyś los pozwoli dożyć szczęścia wolnego bytowania pod sztandarem Białego Orła, przypomni sobie o ich ofierze i oceni jej znaczenie i wagę. Czy można dzisiaj, kiedy ta chwila szczęśliwa nadeszła, zapomnieć o tym tak świętym obowiązku?

Zresztą obowiązek to najczęściej przemiły. Są postacie historyczne, które wyobraźni człowieka współczesnego narzucają się z siłą niezmiernie sugestywną. Pisaliśmy już niejednokrotnie w tem miejscu o odrodzeniu zainteresowań historycznych wśród publiczności dzisiejszej, odrodzeniu, przejawiającem się w powieści, kinie, a nawet w pewnym stopniu i w malarstwie współczesnem, ludzi zaś, myślących kategorjami myślowemi, nie może nie pociągać brawurowa postać

króla Jana III-ego,

bohatera z pod Wiednia, największego Sarmaty wśród królów polskich i największego króla wśród ukoronowanych Sarmatów. Jest coś dziwnie wspaniałego w triumfach wiedeńskich króla Jana i coś bardzo smutnego w jego życiu osobistem, w jego zmaganiach się z wybujałym indywidualizmem „braci szlachty" — ileż tragizmu wreszcie w zupełnem załamaniu się linji jego polityki po jego śmierci. Wszystko to razem czyni postać Sobieskiego nietylko godną podziwu i uwielbienia, ale dziwnie nam bliską, znajomą, pokrewną, niemal współczesną. Trzchsetna rocznica urodzin Sobieskiego, którą święcić będziemy niebawem, wypaść też powinna ciepło i serdecznie — jak rocznica urodzin człowieka bliskiego i kochanego.

W inne czasy przenoszą nas inne obchody narodowe, które święciliśmy tego roku. Przenoszą nas już one w okres najgorszego upadku Rzeczypospolitej, w najcięższe czasy niewoli. 150 rocznica zgonu

Kazimierza Pułaskiego

U ŹRÓDEŁ KULTURY

Do podstaw kultury współczesnej sięga istotnie nowy podręcznik.

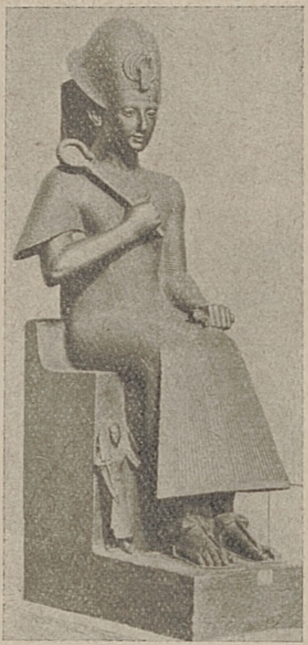
MARJANA H. SEREJSKIEGO Historja starożytna (zł. 4.50), wprowadzając ucznia gimnazjum wyższego w krąg zagadnień, związanych z historją starożytną, z temi kolebkami współczesnej kultury i cywilizacji, jaką były Wschód starożytny i Grecja.

Podręcznik p. Serejskiego, przeznaczony dla klasy IV-ej gimnazjum wyższego, jest pierwszym z cyklu podręczników historji, metodycznie opracowanego przez czterech autorów. Cykl ten obejmować będzie:

I. Historję starożytną,
II. Historję średniowieczną,
III. Historję nowożytną i
IV. Historję nowoczesną,

będzie więc stanowił zamkniętą w sobie, wyczerpującą przedmiot całość. Zadaniem tego cyklu jest podniesienie poziomu nauki historji w naszej szkole średniej przez danie nauczycielowi pomocy, opartej na najnowszych zdobyczach wiedzy fachowej i na najdoskonalszych wzorach materjalnych oraz przez ostrożne i nietrudne wdrożenie ucznia do myślenia historycznego. „Historja starożytna" Serejskiego, stanowiąca wstęp do nauczania historji wogóle, opracowana jest też ze szczególnem uwzględnieniem wszystkich elementów z zakresu kultury, stosunków gospodarczych, społecznych i ustrojowych, z wielkim naciskiem na historję sztuki, która nas z cywilizacją starożytną wiąże najsilniej. Chodziło w tej książce nietylko o zaznajomienie ucznia szkoły średniej z całokształtem dziejów starożytnych, ale i z pewnemi zagadnieniami zasadniczemi, z któremi spotykać się będzie na przestrzeni całej historji szkolnej.

„Historja starożytna" napisana jest zajmująco, żywo i barwnie — uczniowie na zasadzie lektury tej książki nietylko mogą się zaznajomić z właściwym materjałem historycznym tego okresu, ale i umiłować gorąco te czasy. 300 fotografij, rysunków i mapek, wykonanych pierwszorzędnie na dobrym papierze ilustracyjnym, przyczynić się powinny znakomicie do powodzenia tej książki.



ROCZNICE

przenosi nas w epokę konfederacji barskiej, owych rozpaczliwych a bezskutecznych walk o, zdałoby się, na zawsze już utraconą wolność i niepodległość. Jest to wspomnienie tem droższe, iż łączy nas duchowo z największą republiką świata, Stanami Zjednoczonemi, które razem z nami czczą pamięć tego bojownika za ich i naszą wolność. Jest coś symbolicznego w tej wspólnocie walk i poświęceń. — Z punktu widzenia literackiego postać Pułaskiego interesuje nas z tego przedewszystkiem powodu, iż jest on bohaterem jedynego dramatu francuskiego **Mickiewicza**, który znany jest dzisiaj w szczątkowej postaci, z pięcioaktowej całości zachowały się bowiem jedynie dwa pierwsze akty.

Z ziemi obcej do polskiej zawędrowały tego roku zwłoki dwóch wielkich Polaków. Z ziemi węgierskiej przybyły zwłoki

jen. Bema,

bohatera walk powstania listopadowego, przelewającego później swoją krew za sprawę węgierską, krew, która złączyć potem miała oba narody węzłami wzajemnej sympatji i przyjaźni.

Do kraju wracają również dostojne zwłoki największego historyka polskiego, człowieka, któremu wieszczemu natchnieniu zawdzięczał tak dużo jego największy i najgenjalniejszy uczeń, Mickiewicz; samotny wędrowiec, niezmużonemi stopami depcący po upadku powstania listopadowego niegościnne szlaki obcej ziemi,

Joachim Lelewel

wraca oto do Polski!

Niezwykły to, niespokojny duch. Przywódca radykałów podczas powstania, najgorętszy przeciwnik Adama Czartoryskiego, twórca polskiej idei demokratycznej, niezmordowany badacz dziejów Polski, nieznużony szperacz, do ostatniej chwili pragnący wydobyć z ciemnych stronic historji polskiej jasny promień poznania, rozświetlający mroki przeszłości i rzucający światło wskazania praktycznego na daleką przyszłość. Spuścizna naukowa Lelewela jest wręcz olbrzymia; ten niestrudzony wędrowiec, żyjący i umierający zdala od ojczyzny, pozostawił po sobie całą bibljotekę, cały olbrzymi zbiód dzieł, których każde słowo przepojone jest najszczytniejsza, najgorętszą miłością ojczyzny i umiłowaniem serdecznem prawdy.

Zwłoki Joachima Lelewela wracają do ziemi ojczystej, do której tęsknił całe życie i do której po powstaniu nie było mu już dane powrócić. Przyjmie go ona jak matka stęskniona i miłująca swego najlepszego, nieszczęśliwego syna.

CZY WIECIE, ŻE...

Warszawa straciła przed paroma tygodniami jednego z najzdolniejszych krytyków teatralnych, ś. p. Adama Zagórskiego, który ostatnio zajmował stanowisko recenzenta teatralnego w Expressie i Kurjerze Czerwonym. Był to jeden z najsubtelniejszych znawców teatru u nas, człowiek wielkiej wiedzy, sumienny, pracowity, a przedewszystkiem uczciwy publicysta;

w nr. 37-ym „Wiadomości Literackich" ukazał się bardzo ciekawy artykuł p. Melchjora Wańkowicza, dyrektora Tow. Wydawniczego „Rój". Artykuł ten nosi tytuł „Wydawca o krytykach" i — jak sam tytuł wskazuje—jest walną rozprawą człowieka pracującego na niwie wydawniczej ze współczesną krytyką literacką;

tegoroczny sezon literacki nie rozpoczął się jeszcze właściwie — mimo to mamy do zanotowania pewien ruch literacki na łamach naszych czasopism; między innemi drukuje Karol Irzykowski w „Robotniku" cykl ciętych artykułów, których ostrze zwraca się przeciwko twórcy „Czarnych skrzydeł", Juljuszowi Kaden-Bandrowskiemu. Na artykuły te odpowiedział Kaden-Bandrowski w „Głosie prawdy", mamy jednak wrażenie, iż dyskusja ta jeszcze zakończona nie jest;

nasz laureat olimpijski, p. Kazimierz Wierzyński po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych wrócił przed paroma tygodniami do Polski. Pobyt p. Wierzyńskiego wśród Polonji amerykańskiej, odczyty, które tam wygłaszał w różnych ośrodkach polskich, przyczynią się z pewnością znakomicie do zacieśnienia więzów, łączących wychodztwo amerykańskie z macierzą;

teatr Narodowy zapowiada jako jedną z najbliższych premjer wystawienie „Konfederatów Barskich" Mickiewicza. Będzie to próba nader ciekawa; być może, natchnie ona któregoś z naszych literatów do podjęcia próby ukończenia tego dramatu, zachowanego jedynie w szczątkowej postaci;

wyszła już w polskiem tłumaczeniu rozgłośna powieść E. M. Remarque'a „Na zachodzie nic nowego". Powieść ta cieszy się szalonem powodzeniem w całej Europie—rzecz ciekawa, jak ją przyjmie publiczność polska;

w nr. 38-ym „Wiadomości Literackich" pisze p. Władysław Witwicki o t. zw. „Bibljotece medyckiej", t. j. o bibljotece, wychodzącej od roku 1925-ego pod nazwą „Bibljoteki medyckiej" w Medyce pod Przemyślem. Bibljotekę tę tworzą wyłącznie książki pióra członków rodziny Pawlikowskich, dziedziców Medyki. Książki to pod każdym względem ciekawe i niezwykłe.

Z WĘDRÓWKI PO HISZPANJI

Jeżeli już w Barcelonie i w Madrycie trudno jest oprzeć się wrażeniu, że przebywa się w kraju dziwnie jakimś innym, niż cała Europa pozostała, to przyznać trzeba, iż na południu Hiszpanji uczucie to wzrasta bardzo wyraźnie.

Południe Hiszpanji,

ta zaczarowana kraina słońca, ma swój nieprzeparty, swoisty urok, który na człowieka, przybyłego z dalekiej, chłodniejszej Europy, wywiera wpływ niesłychanie silny. Pobyt w Sewilli, w Kordobie, w Grenadzie jest jednem pasmem doznań zupełnie nadzwyczajnych, które długo jeszcze pozostają w pamięci i po rozstaniu się z tym zaczarowanym krajem z bajki.

Bajkowe jest tu przedewszystkiem słońce, oślepiające, rozkosznie upalne słońce, którego ognista kula daje się nam wprawdzie dobrze niekiedy we znaki, malujące zato tę daleką krainę kolorami całkowicie już południowemi. Złociste pomarańcze na zielonych drzewach, rosnących np. na ulicach Kordoby, są jakby żywem przypomnieniem o tem, że znajdujemy się już na krańcu chłodnej i umiarkowanej Europy, aby niebawem znaleźć się już w gorącej, namiętnej Afryce...

Przypomina nam też o tem i upalny, duszny wiatr, który na ulicach uroczej

Sewilli

przynosi nam już gorące tchnienie Sahary, przypominają białe, niskie domy z płaskiemi dachami, z cienistemi „patio", w których skryć się można przed upalnem słońcem. Jesteśmy już na południu, wśród ludzi południa, jakże odmiennych od zwykłych naszych towarzyszy.

To poczucie zupełnej odmienności i odrębności Hiszpanji południowej wywołane jest przytem jeszcze specjalnym charakterem jej pomiątek, jej budownictwa, jej ogrodów i jej wreszcie ludzi. Pełno tu najpiękniejszych w świecie, czarownych pamiątek po przejściowych panach Hiszpanji, Maurach, którzy przecież jeszcze w XV-ym wieku mieli tu swoje potężne państwo ze stolicą w Grenadzie i dopiero parowiekowe krwawe utarczki z Hiszpanami zmusiły ich do opuszczenia półwyspu Iberyjskiego i do szukania szczęścia na gorących lądach Afryki. — Obecnie „leżą już w gruzach Maurów posady" i tylko przepiękne zabytki sztuki i architektury mauretańskiej świadczą o ich świetnej, a niepowrotnej już przeszłości. Świadczą też o niej i czarne oczy Hiszpanek, mające w sobie tu na południu coś z sennej, haremowej zadumy Wschodu, coś dziwnie już nieeuropejskiego, obcego, odmiennego.

Niema chyba na świecie całym nic piękniejszego, niż

Alhambra w Grenadzie,

ta odwieczna siedziba kalifów maurytańskich, pełna tajemnego czaru, pełna zamierzchłej woni rzeczy, które były. Niewiadomo, co bardziej podziwiać w Alhambrze: czy przedziwne koronki z kamienia, wykładane mazaiką, której nikt dzisiaj naśladować nie potrafi, czy przecudne ogrody, zielone i cieniste, gdzie perliste kaskady, grające w słoneczne dni wszystkiemi kolorami tęczy, opowiadać się zdają o przeszłości, o bogactwie i wspaniałości dworu sułtańskiego, o pięknych mieszkankach sennych haremów, które w cieniu zielonych szpalerów w nurtach tych dzwoniących i szemrzących kaskad szukały ochłody i zapomnienia. Według podania historycznego

Boabdil,

ostatni władca Grenady, pobity na głowę przez Ferdynanda Katolickiego w roku 1492-im i zmuszony przez niego do opuszczenia Grenady, przez całe życie nie mógł zapomnieć o tym przecudnym zakątku ziemi, wszędzie, gdzie był, stawiał pałace na wzór i podobieństwo Alhambry i umarł wreszcie podczas jakiejś bitwy na gorących piaskach Sahary z czarowną wizją ogrodów Alhambry w duszy, do których tęsknił do ostatniego tchnienia życia. Zaiste, kiedy się zwiedza Alhambrę, tragedja Boabdila dziwnie się nam wydaje bliska i zrozumiała.

Kiedy się chce zobaczyć, czem byli w Hiszpanji Maurowie, trzeba pojechać poza Grenadę do

Kordoby

i tam zobaczyć cudowny, jedyny w swoim rodzaju meczet maurytański, zamieniony zresztą od wieków na kościół katolicki, a mimo to ciągle jeszcze dyszący nieprzepartym czarem rzeczy egzotycznych. Kiedy się wchodzi do katedry w Kordobie, trzeba przymknąć na chwilę oczy. Co za las kolumn! Niekończący się, w nieskończoność, zdałoby się, ciągnący się las smukłych kolumn, zakończonych płaskiemi kapitolami z ciemnoczerwonego i białego marmuru... Nigdzie w tym chyba, co tu, stopniu nie ma się tego przeczucia nieskończoności, jak właśnie w meczecie Kordoby...

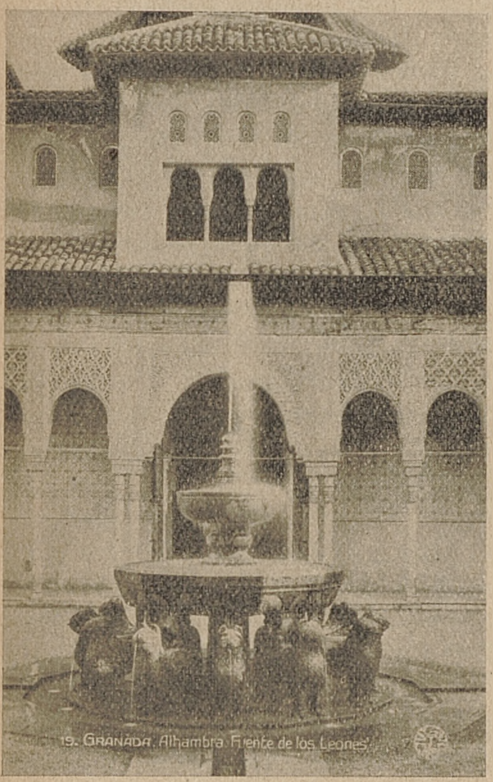
Nie brak zresztą śladów maurytańskich w Sewilli, gdzie we wspaniałym ogrodzie rozsiadła się dzisiaj szeroko

wystawa ibero-amerykańska,

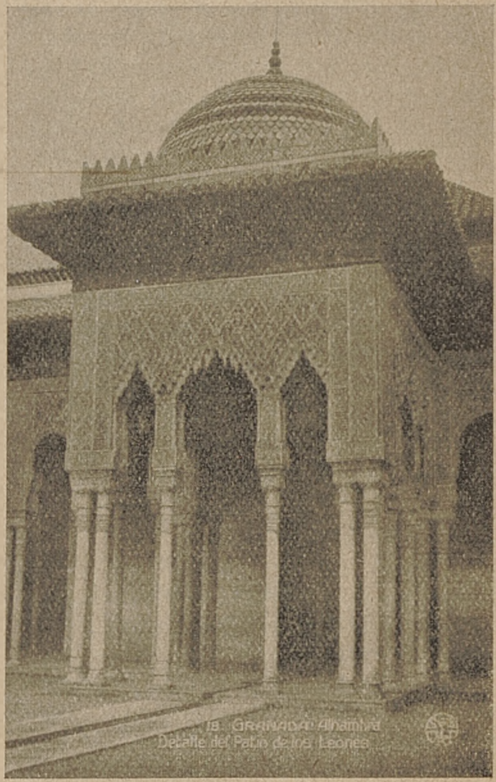
na której dawne kolonje hiszpańskie w Ameryce Południowej, niegdyś wierne córy korony hiszpańskiej, wespół z byłą macierzą chwalą się przed całym światem swoim dorobkiem kulturalnym i gospodarczym. Dawne te wierne córy okazały się dzisiaj potomstwem niewdzięcznem, wyzbyły się całkiem macierzystych więzów i niezależnie od matki-Hiszpanji wiodą dziś żywot samodzielny i niezawisły. Wystawa iberyjsko-amerykańska jest próbą nawiązania tego zerwanego już przed wiekami kontaktu, próbą połączenia byłych kolonij hiszpańskich nowemi więzami, moralnemi przynajmniej, z tęskniącą za niemi macierzą. Obok więc wystawy czysto hiszpańskiej rozsiadły się w Sewilli pawilony Brazylji, Argentyny, Venezueli, Paragwaju i innych republik południowo-amerykańskich, republik, mówiących jeszcze i dzisiaj po hiszpańsku, choć żyjących odrębnem życiem państwowem.

Do Sewilli przyjeżdża się jednak nietylko poto, aby zwiedzić wystawę. To miasto z opery, miasto „Carmeny i „Cyrulika sewilskiego", niepodobne jest do żadnego innego miasta w Europie. Zdaje się ono oddychać najróżnorodniejszemi wspomnieniami historycznemi, wonią rozległych pól Andaluzji, zdaje się dziś jeszcze dyszeć dumą i pychą rycerzy Hiszpanji, którzy stąd właśnie ruszali na walki z niewiernymi. W przystani w Sewilli na największej rzece Hiszpanji, Guadalquivirze kołysze się dzisiaj mała łupinka, statek drewniany, zrobiony dokładnie na wzór okrętu

Krzysztofa Kolumba,



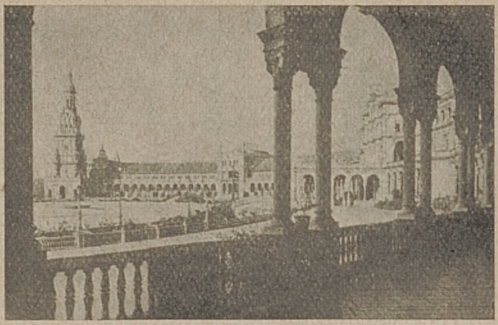
Alhambra w Grenadzie



Alhambra w Grenadzie.

który stąd przecież, z Sewilli wyruszył na podbój obcych lądów i mórz. Jakżeż ta łupinka wydaje się dzisiaj drobną, nędzną i małą! A przecież na niej to właśnie dokonano największego bodaj odkrycia świata. Mocny dzień dzisiejszy, który w historji Hiszpanji znaczy się dzisiaj wielkim, znojnym wysiłkiem twórczym, łączy się tam w obliczu tej wątłej łupinki z pełnym chwały dniem wczorajszym, którego widomym, symbolicznym niejako znakiem jest mały stateczek Kolumba.

To wyraźne połączenie dnia wczorajszego z dniem dzisiejszym stanowi właśnie cały niezrównany wdzięk Hiszpanji. Na każdym kroku czuje się tutaj, mocniej bodaj, niż gdziekolwiek indziej,



„Plac Hiszpanji" na wystawie w Sewilli

upajającą atmosferę prześwietnej tradycji historycznej. Każdy kościołek jest tu skarbnicą najpiękniejszych dzieł sztuki, w każdem miasteczku znajdują się prawdziwe cuda. Ale jednocześnie Hiszpanja dzisiejsza budzi się do nowego pełnego życia i, nie zrywając więzów, łączących ją z przeszłością, szykuje się do nowych zadań i nowych wysiłków. Na każdym jednak kroku historja przypomina się tu i narzuca z mocą zaiste czarodziejską; każdy, kto zwiedza Hiszpanję, urokowi tych wspomnień historycznych oprzeć się nie może i najpewniej nie zechce: za wiele w nich piękna i zawsze żywej poezji.

ZIEMIA PŁONĄCA

„Ziemia płonąca" oto jest tytuł pięknej powieści

Maxa Dauthendey'a,

która w doskonałem tłumaczeniu *Józefa Wittlina* ukazała się obecnie w „Czerwonych książkach" M. Arcta zł. 6.40.

Jest coś symbolicznego w tym tytule. Stanowi on jakby skrót całej powieści, której akcja toczy się w ziemi płonącej Meksyku.

Dziwna to ziemia. Płonie ona pod stopami wędrowca europejskiego. I nietylko ziemia. Jest coś płomienistego w powietrzu tamtejszem, w sercach ludzi z tych stron, w ich duszach nieokiełznanych, dzikich, pełnych pierwotnych, a nieraz szlachetnych instynktów. Zetknięcie się takich ludzi z Europejczykami doprowadzać musi niemal zawsze do tragicznego konfliktu.

„Ziemia płonąca" jest historją pewnego Europejczyka, młodego Niemca w Meksyku. Bohater tej powieści, pisanej w formie pamiętnika, przyjeżdża do Meksyku i tu zostaje wplątany w historję miłosną pięknej jak słońce Meksykanki Orli, która, porwana w wir szalonych przeżyć i wydarzeń, życiem swojem własnem opłaca szaleństwa swojego serca. Śmierć ukochanej kobiety wytrąca z równowagi duchowej naszego bohatera. Ciężką, śmiertelną chorobą płaci za pobyt w tej „ziemi płonącej". Uleczony, wyrywa się z piekła meksykańskiego, aby czem prędzej wrócić na łono matki-Europy. Wyjeżdża, uzbrojony w nową filozofję życia. „O tem, że serca, podobnie jak gumowe laleczki, mogą być symbolicznemi zabawkami — czytamy na str. 254 — wiedziałem już w Europie, ale o tem, że śmierć może też być dziecinną zabawką, powiedzieli mi dopiero Indjanie w stolicy Meksyku".

Max Dauthendey, nie żyjący już dzisiaj znany pisarz niemiecki, cieszy się w swojej ojczyźnie wielkim rozgłosem. Dzieła jego pełne są subtelnej filozofji życia, mądrej znajomości ludzi i naszej kultury współczesnej. Wszystkie te zalety odnajdziemy w „Ziemi płonącej", gdzie motyw zetknięcia się Europejczyka z obcą, tak odrębną i swoistą kulturą Meksyku nadawał się znakomicie właśnie dla pióra Dauthendey'a, tego mistrza subtelnego malowidła psychologicznego. „Ziemia płonąca" jest powieścią jedyną w swoim rodzaju: przy niezwykle zajmującej, prawdziwie sensacyjnej treści znajdzie tu czytelnik mnóstwo głębokich spostrzeżeń i uwag, mnóstwo interesujących myśli i sądów. Jest to książka istotnie inna, odmienna, niż to wszystko, co się tak często pod mianem literatury podróżniczej i sensacyjnej ukazuje na rynkach księgarskich.



NA ŁOWY!

Czy lubicie książki podróżnicze? Na całym świecie cieszą się one szalonem wręcz powodzeniem, rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy, stanowią ulubioną lekturę szerokich kół publiczności. Książki podróżnicze ugruntowały przecież sławę Ferdynanda A. Ossendowskiego, który należy dzisiaj do najbardziej popularnych pisarzy wszechświatowych. Książki podróżnicze są dla człowieka, zmęczonego szarą codzienną pracą zarobkową, znużonego rozgwarem życia wielkomiejskiego, nieodzowną, konieczną lekturą, pożądanem wytchnieniem i jedną z najmilszych rozrywek.

Dziwnie uboga jest polska literatura podróżnicza. Mało nazwisk wybitnych błyszczy na tem polu, mało dzieł tego rodzaju zalega półki księgarskie. Dopiero ostatnio wszczął się jakiś ruch bardziej ożywiony na tem polu, a szereg nowych publikacyj, o których donosiliśmy w poprzednich numerach „Książek", świadczy o kierunku zainteresowań i upodobań autorów naszych książek podróżniczych. Obecnie sygnalizujemy ukazanie się nowej książki podróżniczej. Wiadomość tę przyjmą z pewnością z najżywszem zadowoleniem liczne rzesze naszych czytelników. Książka ta to

Słońce Etjopji J. d'Esme'a (zł. 4).

Powieść to i nie powieść. Wspomnienia czysto podróżnicze, ciekawe opisy egzotycznych wypraw i niebezpiecznych polowań splótł autor z zajmującą historją miłosną, rozgrywającą się między piękną Angielką, lady Ofelją Dawnbridge, a interesującym attaché ambasady włoskiej, Carlem Bolzani, z jednej i potężnym królem Etjopji Guiorguisem z drugiej strony. To połączenie motywów utrzymuje uwagę czytelnika od początku do końca w stanie napiętej uwagi, a pytanie „jak się to skończy" nie opuszcza go ani na chwilę.

Odłóżmy więc na bok naszą zwykłą lekturę i nasze zwykłe zajęcia. Rązem z lady Ofelją wybierzmy się na łowy na grubszego zwierza, na słonie, bawoły, lwy, nosorożce, razem z nią narażajmy się na stokrotne niebezpieczeństwa, aby wreszcie wraz z nią dopłynąć do — przystani miłości. Cóż za cudowne oderwanie się od szarej rzeczywistości dać może lektura takiej książki! Trzeba ją tylko czytać uważnie i chętnem sercem — aby naprawdę zrozumieć cały gorący urok tego słonecznego, dalekiego, egzotycznego, a tak pociągającego kraju.

KAZIMIERA ZABŁOCKA

ZŁAMANE ŻYCIE...

Spotkali się w Zakopanem. Po wielu, wielu latach. Ucieszyli się bardzo w pierwszej chwili, ale po krótkim czasie radość ich dziwnie przycichła. Pamiętali o sobie jako o ludziach młodych, wesołych, żywych, szczęśliwych. Jan miał wtedy duże czarne oczy i wielką blond czuprynę, co podobno przyczyniać się miało pierwszorzędnie do jego fenomenalnego powodzenia u kobiet. Był znakomitym matematykiem i wróżono mu wielką przyszłość na polu naukowem. Piotr był może mniej przystojny i elegancki, znany był jednak z niesłychanego „szczęścia" w życiu i jako zdolny, obiecujący inżynier uchodził za jedną z najlepszych partyj w stolicy. Obaj wtedy, w owym przemiłym okresie bujnej młodości, kiedy razem roili o złotych zamkach na lodzie, znali się i kochali się bardzo — aż do chwili, kiedy nieszczęście chciało, że pokochali tę samą kobietę, uroczą pannę Halinę, która po paru miesiącach wahania się i tragedyj została wreszcie żoną Jana. Piotr był na ślubie, podarował nowożeńcom wspaniały prezent ślubny; udawał, że się niezmiernie cieszy szczęściem przyjaciela i że sam raz już na zawsze wyrzekł się wszelkiej myśli o pięknej Halinie.

W gruncie rzeczy nie wyrzekł się jej nigdy. Przez długie lata prześladowała go myśl o niebieskich oczach i płowych włosach pani Janowej. Nie ożenił się nigdy, całą swą energję skierowując wyłącznie w kierunku spraw ściśle zawodowych. Dziś był bogatym właścicielem wielkich zakładów metalurgicznych, miał w świecie przemysłowym stanowisko bardzo wybitne, był prezesem nieskończonej ilości spółek akcyjnych — i czuł się naogół bardzo źle, bardzo smutno i bardzo nie na miejscu. Czasami, myśląc o przeszłości, zżymał się z gniewu na własną głupotę, którą kiedyś nazywał szlachetnością, a która kazała mu wyrzec się ukochanej nadewszystko kobiety w imię rzekomych obowiązków przyjaźni. Często, zwłaszcza w długie, samotne wieczory, rozmyślał nad tem, że wyrzekłby się chętnie swoich miljonów i swego stanowiska za jedno spojrzenie oczu pani Haliny i za jeden uśmiech dziecka, któreby z nią mógł kiedyś mieć. Czasami myślał o tem, że wyzwie Jana na pojedynek, zabije go bez litości i ożeni się z wdową — potem machał ręką i zabierał się znowu do swoich interesów. Zresztą widywał eks-przyjaciół bardzo rzadko, a po dwóch, trzech latach stracił ich zupełnie z oczu. Podobno wyjechali gdzieś na prowincję. Dopiero teraz po latach spotkali się znowu w Zakopanem.

W panu Piotrze ożyły na nowo wspomnienia. Wspomnienia czarownej, jedynej przecież w życiu miłości i niemniej słodkie wspomnienia młodych lat, tego cudownego okresu, kiedy życie uśmiecha się do człowieka, a przyszłość złoci się przed nim w najpiękniejszych, najbarwniejszych kolorach. Cicha melancholja tych wspomnień tem trudniejszą czyniła do zniesienia teraźniejszość i tem droższym niefortunnego przyjaciela młodości, sprawcę w gruncie rzeczy całego nieszczęścia. Pan Piotr nie rozstawał się też w Zakopanem z panem Janem, starając się mu w najrozmaitszy sposób uprzyjemnić jego samotny pobyt, pan Jan bowiem był bez żony i zdawał się nudzić w naszej „stolicy tatrzańskiej".

Trzeba przyznać, iż pan Jan nie był zresztą zbyt zajmującym towarzyszem. Bardzo elegancki, bardzo dobrze zakonserwowany, dziwnie był jednak milczący i zamknięty w sobie. O żonie mówił niewiele, niewiele też o swoich interesach i życiu. Mieszkał stale w Krakowie i nieźle mu się powodziło — tyle tylko mógł z niego wydobyć p. Piotr.

Ale powietrze w Zakopanem ma w sobie coś dziwnego. Rozwiązuje ludziom języki i każe się zwierzać nawet tym, których serca zamknięte są zazwyczaj na cztery spusty upartego, bolesciwego milczenia. Dalekie wycieczki, uciążliwe wędrówki we dwoje po stromych, a jakże pięknych stokach tatrzańskich zbliżają często ludzi bardziej, niż lata wspólnych interesów i pracy. Kiedyś wieczorem, nad brzegami Czarnego Stawu, przyszło między panem Janem i panem Piotrem do walnej rozmowy, której potrzebę czuli obydwaj już bardzo dawno, a której żaden nie chciał rozpoczynać pierwszy...

Tym razem rozpoczął ją pan Piotr. Wpatrzony w ledwo już widoczny pas górski nad Czarnym Stawem, przysunął się nagle do pana Jana, położył mu rękę na kolanie i trochę zduszonym głosem szepnął:

— Opowiedz mi teraz trochę o twojej żonie... Ty wiesz przecież wszystko. Tego tylko nie wiesz może, iż ja... tyle lat, a nie zapomniałem nigdy... Opowiedz, co ona robi — i czy jest szczęśliwa.

Pan Jan nie odpowiedział odrazu. Ostatnie połyski zachodzącego słońca padły na jego schyloną głowę. Pan Piotr teraz dopiero spostrzegł, iż na skroniach jego przyjaciela srebrzyły się całe pasma siwiutenkich włosów.

— Kiedyż to było, kiedy obydwaj nie myśleliśmy jeszcze nawet o tem, że możemy być kiedyś starzy — przemknęło przez głowę p. Piotra. — Ciekawym, czy też i ona ma dzisiaj siwe włosy...

W przystępie nagłej czułości objął ramieniem przyjaciela.

— No, stary, mówże! Jakżeż tam u was? Co z nią, co z tobą? Czy wam dobrze na świecie?

Pan Jan uśmiechnął się blado i podniósł spuszczone oczy.

— A ty, — odpowiedział — jakżeż tam u ciebie? Jesteś szczęśliwy? Bogaty? Zadowolony? Zapomniałeś? — dodał ciszej.

Pan Piotr machnął ręką.

— O mnie niema co mówić. Jestem bogaty, to wiesz. Moja fabryka funkcjonuje znakomicie. Ale wiesz, wyrzekłbym się tego wszystkiego za jeden dzień mojej młodości, za — jeden uśmiech twojej żony... Wiesz, stary, nie gniewaj się ty na mnie, tak jak ja nie mam już przecież do ciebie urazy... Kochałem tę kobietę jak szalony, jak warjat. Wyrzekłem się jej dla ciebie, ale — do djabła! — kocham ją do tej chwili. Mam w życiu wszystko, co powinno dać szczęście, ale — co tu długo gadać — mam złamane życie i nigdy szczęśliwy nie będę. Śmieszne to może, niemądre, niewspółczesne, ale tak już jest — i tak będzie. No, ale tyś zdobył szczęście, które nie mogło być moim udziałem. No, mówże, jesteś szczęśliwy?

Pan Jan milczał długo i uparcie. Nagle zaczął mówić prędko, głośno, nerwowo. Był to jakiś wybuch dawno ukrywanego żalu, jakiś bunt, którego nie można tłumić dłużej.

— Zazdroszczę ci, — krzyczał — masz pracę, która cię interesuje, masz stanowisko, spokój, pieniądze... Wiesz dzisiaj, co będziesz robił jutro, rano, co cię spotka wieczorem. Słyszałem o tobie, wiem, zazdroszczę ci, słyszysz, zazdroszczę!

Zapadło milczenie. Pan Piotr skulił się wewnętrznie, przestraszył, znieruchomiał. Pan Jan po chwili zaczął mówić dalej.

— Moja żona... Halina! Wyrzekłeś się jej dla mnie... Mój Boże! Ta kobieta jest nieszczęściem mego życia, kamieniem u mojej nogi, zmorą, przekleństwem! I żebym mógł się od niej oderwać, rzucić ją, ale trzyma mnie mocno, kocham ją jeszcze ciągle... Wiesz — nachylił się do pana Piotra — ma jeszcze takie same, jak dawniej, płowe, jakby prześwietlone słońcem włosy i takie same niebieskie oczy. Wygląda jak dawniej, ja jestem dzisiaj starcem...

Wiesz, że byłem zdolnym matematykiem. Rokowano mi wielką przyszłość. Czułem, że mogę naprawdę zrobić niejedno. Ale cóż, ożeniłem się, moja żona żądała ode mnie odpowiedniej oprawy dla swojej wielkiej urody, strojów, podróży, pięknego domu... Rzuciłem matematykę, wziąłem się do interesów. Czasami zarabiam dużo, potem znowu klepię biedę... Dzisiaj jestem bogaczem, jutro nie mam na obiad. Zazdroszczę ludziom, którzy dziś wiedzą, co będzie z nimi za miesiąc.

Gdybyż przynajmniej przy tem jakie takie szczęście domowe, jakiś spokój w rodzinie, coś w rodzaju domowego ogniska! Ale gdzież tam! Kochałem zawsze dzieci — nie mam własnych. Moja żona uważa mnie za niedołęgę, który nie umiał jej urządzić życia tak, jak chciała, który nie umiał zapewnić jej tego maximum wygody i zbytku, jakich żądała. Nie kocha mnie już zupełnie, jest najszczęśliwsza wtedy, kiedy, jak naprzykład teraz, może nie być ze mną, przypuszczam, choć nie wiem tego na pewno, iż nie jest mi wierną — moje życie jest jednem piekłem, jednem upokorzeniem, jednem pasmem udręki, nieszczęść, poniewierki. Ta kobieta złamała mi życie, mój drogi. Czasami myślę o tem, żeby było stokroć lepiej, gdybyś był mniej szlachetny wtedy, w owym przepięknym okresie naszej młodości, kiedy mi się zdawało, że to jakiś anioł zstępuje do mnie w jej postaci z obłoków. Możebyś zresztą i ty potrafił dać jej w wyższym, niż ja, stopniu to, czego żądała, możeby i ona była przy tobie pozostała taką, jaką była w naszej młodości. Dzisiaj jest złą, okrutną kobietą...

*
* *

Dwaj przyjaciele zamilkli. Nazajutrz zeszli z gór. W Zakopanem unikali siebie nawzajem. W krótkim czasie rozjechali się każdy w swoją stronę — w życiu całem nie widzieli się już więcej.

KSIĄŻKI Z CAŁEJ POLSKI

Kornel Makuszyński. LISTY ZEBRANE. Któż nie czytał listów Makuszyńskiego, kto się nie delektował jego opisami Zakopanego, Zoppot i innych podróży? „Listy zebrane" są lekturą, po której człowiek patrzy na życie z wesołym uśmiechem — a czegóż więcej trzeba na tym smutnym świecie. Zł. 10.

Jan Newada. POMYŁKI JÓZEFA ZBROWSKIEGO. Zajmująca ta powieść rozgrywa się w naszem środowisku dyplomatycznem. Część pierwsza dzieje się w legacji polskiej w Rzymie. Osobiste przeżycia bohatera tej powieści w bardzo interesujący sposób powiązane zostały z ogólniejszem tłem polskiem. Zł. 6.

Juljusz Kaden-Bandrowski. ŁUK. Wydanie II-gie. Kaden-Bandrowski jest dzisiaj jednym z najbardziej znanych i popularnych naszych powieściopisarzy, nic więc dziwnego, że czytająca publiczność poszukuje i dawniejszych jego powieści. Zł. 8.

Juljusz German. GWIAŹDZISTA NOC. Wydanie II-gie. Zwolennicy talentu Juljusza Germana powitają z pewnością i zadowoleniem to powtórne wydanie jego „Gwiaździstej nocy". Zł. 8.

Bohdan Pawłowicz. PIONIERZY. Ciekawa ta i pouczająca powieść z życia naszych emigrantów do Ameryki Południowej zainteresować powinna szerokie koła naszej publiczności. Zł. 10.

Aleksandra Leśniewska. RYCERZ. Zajmująca powieść historyczna z XVII-ego wieku, z okresu najbardziej krwawych i najbardziej bohaterskich walk orężnych Polski. Młodzież nasza przyjmie ją na pewno bardzo życzliwie. Zł. 6.

Antoni Marczyński. WYSPA NIEZNANA. Marczyński ma już swoje ustalone nazwisko w naszej literaturze sensacyjnej, a powieści jego cieszą się dobrze zasłużoną renomą. Zł. 9.60.

H. G. Wells. STRAJK (przekł. z ang.). Jedna to z najnowszych powieści znakomitego pisarza, bystrego, wnikliwego badacza naszej współczesności, osnuta naokoło wielkiego strajku węglowego w Anglji w roku 1927-ym, poruszająca niemal wszystkie zagadnienia aktualne dnia dzisiejszego. Zł. 9.

Walter Scott. WAWERLEY (przekł. z ang.). Pokolenie dzisiejsze, zajęte lekturą innego typu, zapomina już—jakże niesłusznie!—o twórczości Walter Scotta, jednego z twórców powieści współczesnej. Temu stanowi rzeczy zapobiec powinno nowe wydanie „Wawerley", zaopatrzone w doskonały wstęp i objaśnienia prof. Andrzeja Tretiaka. Zł. 7.60.

Karol Dickens. MALEŃKA DORRIT (przekł. z ang.). Niestychanie świeże, młode i czarowne są zawsze powieści Dickensa, opromienione wdziękiem zupełnie swoistym. Zł. 7.30.

T. E. Lawrence. BUNT ARABÓW (przekł. z ang.). Zł. 7.

T. E. Lawrence. BURZA NAD AZJĄ (przekł. z ang.). Zł. 7.

Obie te powieści wyszły z pod pióra człowieka, który podczas wielkiej wojny organizował z ramienia Anglji tajemniczy świat azjatycki. Lawrence, to rzadki już dzisiaj typ awanturnika, poszukiwacza przygód i silnych wrażeń. Obie jego powieści, osnute na tle jego osobistych wspomnień i przeżyć, są niesłychanie interesującemi dokumentami czasu. Zł. 7.

J. O. Curwood. DOLINA ŚMIERCI (przekł. z ang.). Treścią tej bardzo zajmującej powieści Curwooda są dzieje poszukiwaczy złota, których chęć zdobycia skarbów gna w największe niebezpieczeństwa. Jak wszystkie powieści Curwooda, pełna jest i „Dolina śmierci" najrzetelniejszego napięcia dramatycznego—odłożyć tej książki, nie przeczytawszy jej do końca — nie można. Zł. 6.

J. O. Curwood. ŚRÓD MORMONÓW (przekł. z ang.). Czy wiemy coś o Mormonach? Zdaje się, że niewiele, a jest to przecież środowisko niezmiernie interesujące, swoiste, odrębne, niepodobne do niczego na świecie. Jakże przyjemnie jest poznawać jego zwyczaje i obyczaje poprzez lekturę takiej powieści, jak „Śród Mormonów"! Zł. 5.

O Henry. 830 DOLARÓW (przekł. z ang.). Jest to zbiór nowel prawdziwie amerykańskich, pełnych rozmachu, werwy i istotnie współczesnego tempa. Zł. 1.95.

Edgar Wallace. KAMELEON (przekł. z ang.). Zł. 7.

Edgar Wallace. SANDI, TWÓRCA KRÓLÓW (przekł. z ang.). Zł. 5.

Conan Doyle. PRZYGODY BRYGADJERA GERARDA (przekł. z ang.). Zł. 5.

Ludwik Wolf. TAJEMNICA STAJNI WYŚCIGOWEJ (przekł. z niem.). Oto książka dla zwolenników i miłośników sportu końskiego, bywalców wyścigów, właścicieli stajni! Nie zawiodą się ci, którzy ją wezmą do ręki i przeczytają z prawdziwie sportowem zainteresowaniem. Zł. 2.90.

Piotr Krasnow. OPADŁE LIŚCIE (przekł. z ros.). Krasnow, były generał armji rosyjskiej, wysoki dostojnik dworu carskiego, jest dzisiaj popularnym autorem emigracji rosyjskiej. „Opadłe liście" malują obraz tej Rosji przedwojennej, na której niwie wyrósł tak bujnie posiew rewolucji bolszewickiej. Zł. 5.

Juljusz Verne. SKARBY WULKANU (przekł. z franc.). Vernego zachwalać nie trzeba, nazwisko jego jest samo przez się najlepszą reklamą. Zł. 9.

Józef Ignacy Kraszewski i Leopold Kronenberg. KORESPONDENCJE (1859—1876). Wydała **Marja Dynowska.** Korespondencja ta, tycząca się niezmiernie interesującego okresu naszej historji, obejmującego i powstanie listopadowe, odkrywa niejeden nieznany szczegół i rzuca ciekawe światło na wiele niezbadanych dotąd spraw i zagadnień. Zł. 10.

Stanisław Dobrzycki. ZE STUDJÓW NAD KOCHANOWSKIM. Badacze literatury Polski niepodległej zdają sobie dokładnie sprawę z tego, że wiele momentów zasadniczych w twórczości Jana Kochanowskiego domaga się jeszcze wyjaśnienia i gruntownych studjów. Poważna praca prof. Dobrzyckiego przyczyni się niezawodnie do wyjaśnienia niejednego ciemnego szczegółu. Zł. 3.50.

PAMIĘTNIK WARSZAWSKI. Ukazał się drugi tom „Pamiętnika Warszawskiego", o którego tomie I-szym pisaliśmy w swoim czasie obszernie. Tom II-gi zawiera między innemi prace Porandowskiego, Zawistowskiego, Koty, Czachowskiego, Płoszewskiego, Tretiaka i innych. Zł. 8.

Szymon Rundstein. ĆWICZENIA PRAKTYCZNE Z PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO. Polska stoi dziś w centrum wielkich spraw międzynarodowych i występuje często w szeregu wielkich procesów międzynarodowych, znajomość więc podstaw prawa międzynarodowego jest dziś obowiązkiem każdego inteligentnego obywatela. Zł. 5.

Prof. dr. Władysław Abraham. ZAGADNIENIE KODYFIKACJI PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO. Książka ta w sposób jasny i przystępny porusza niezmiernie dziś aktualny i wszechstronnie dyskutowany problem, zasługuje więc z pewnością na uwagę. Zł. 2.50.

Władysław Salmonowicz. O WEKSLU WEDŁUG OBOWIĄZUJĄCEGO PRAWA WEKSLOWEGO Z DNIA 1-go STYCZNIA 1925 r. Przystępny wykład do użytku kupców, przemysłowców, urzędników bankowych i młodzieży szkolnej. Zł. 1.50.

OPIEKA SPOŁECZNA, zbiór ustaw i rozporządzeń z wyjaśnieniami i komentarzami w opracowaniu dr. **Stanisława Grocholskiego** i **Edwarda Chwalewika.** Zł. 12.

UBEZPIECZENIA POŻAROWE W WOJEWÓDZTWIE WARSZAWSKIEM. Zł. 2.50.

Stanisław Głąbiński. EKONOMIKA NARODOWA. Obszerne to dzieło znanego profesora uniwersytetu lwowskiego jest pewnego rodzaju wyznaniem jego wiary ekonomicznej i zawiera rozdziały następujące: Gospodarstwo narodowe. Pojęcie ekonomiki narodowej. Metoda ekonomiki. Ekonomja a nauki pokrewne. System ekonomiki. Podstawy nowożytnego ustroju gospodarczego. Społeczeństwo. Ziemia i przyroda. Państwo. Własność i prawo spadkowe. Wolność gospodarcza i t. d. Zł. 30.

Charles S. Dewey. SPRAWOZDANIE ZA KWARTAŁ II-gi 1929 ROKU. Podstawowy to dokument do poznania stanu gospodarczego naszego kraju. Zł. 2.

RYNKI ZBYTU. Wielkie to i solidne wydawnictwo **Państwowego Instytutu Eksportowego** jest nieodzowne w rękach każdego biorącego udział w naszem życiu gospodarczem. Zł. 26.

Mieczysław Szawelski. MIĘDZYNARODOWE POŁOŻENIE GOSPODARCZE POLSKI NA TLE OSTATNICH WYDARZEŃ W GOSPODARCE ŚWIATOWEJ. W epoce przewagi spraw gospodarczych na terenie wielkiej polityki międzynarodowej wszelkie badania z tego zakresu urastają do spraw wagi zasadniczej. Zł. 2.

Prof. dr. A. Bolland. TOWAROZNAWSTWO. Wydanie VII. Zł. 12.50.

PRZEWODNIK PRZEMYSŁU I HANDLU. Rocznik II-gi. Zł. 50.

Edward Tadeusz Geisler. OBRABIARKI DO METALI I PRACA NA NICH. Część III. Obrabiarki o ruchu roboczym obrotowym (tokarki, wiertarki, gwinciarki). Podręcznik dla studentów, techników, inżynierów technologów i konstruktorów. Zł. 22.80.

Franciszek Tokarski. MASZYNOZNAWSTWO OGÓLNE. Część I. Podręcznik dla studentów. Zł. 12.

TECHNIK POLSKI ze specjalnem uwzględnieniem przemysłu cukrowniczego. Zebrał i opracował **Zygmunt Polkowski i Józef Błażejewski.** Zł. 12.

KALENDARZ TECHNICZNO-BUDOWLANY. 1929 — 1930 wyd. II. Zł. 15.

Stanisław Brzostowski. LEN W POLSCE. Len odgrywa wielką rolę w życiu gospodarczo-przemysłowem, a sprawa podniesienia jego produkcji jest sprawą ważną i niezmiernie aktualną. Zł. 5.

POLSKIE POMORZE. Praca zbiorowa pod redakcją **Józefa Borowika.** Ziemia i ludzie. Poznaj swój kraj — oto hasło, które nie powinno być dzisiaj czczym frazesem, ale realnem wskazaniem — ze szczerą też radością witamy każdy poważniejszy przyczynek, wchodzący w zakres etnografji i krajoznawstwa polskiego. Zł. 25.

ROCZNIK ŁÓDZKI, poświęcony historji Łodzi i okolicy, pod redakcją **Józefa Raciborskiego i Kazimierza Kaczmarczyka.** Polski Manchester stał się od pewnego czasu przedmiotem badań i studjów historycznych. Wielki to już czas i dobrze się stało, że się do tego ważnego dzieła wreszcie zabrano. Zł. 42.

Juljusz Starzyński i Michał Walicki. MALARSTWO MONUMENTALNE W POLSCE ŚREDNIOWIECZNEJ. Nie zdajemy sobie zazwyczaj dokładnie sprawy z tego, jak wielkie skarby sztuki kryją nasze kościoły i inne zabytki architektury średniowiecznej. Liczne ilustracje i reprodukcje, zawarte w „Malarstwie monumentalnem", przekonać nas powinny naocznie o tem, co posiadamy. Zł. 5.

Eugenjusz Starczewski. WIDMA PRZESZŁOŚCI. Ciekawe to dzieło zmarłego niedawno historyka zawiera prace następujące: U źródeł anarchji polskiej. Stan Polski w pierwszej połowie w. XVII-go. Czasy saskie. Epoka rozbiorów. Radziwiłł „Panie Kochanku". Kajetan Sołtyk. Katarzyna z Potockich Kossakowska. Seweryn Rzewuski, Ksawery Branicki, Józef i Szymon Kossakowscy. Polityka Polski zewnętrzna i wewnętrzna w pierwszej połowie XVII w. Stan Polski w drugiej połowie wieku XVIII-go. Czartoryscy i Poniatowscy. Franciszek Salezy i Szczęsny Potoccy. Przywódcy sejmu czteroletniego. Zł. 18.

Jan Offenberg. STAN UMYSŁÓW WŚRÓD MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ W LATACH 1885 — 1890 (ze wspomnień kresowca). Wspomnienia autora tej ciekawej książki obejmują gimnazja kresowe, tajne związki młodzieży polskiej tego czasu, będącego niewątpliwie jednym z najcięższych okresów dziejów Polski wogóle. Zł. 2.

Dr. Piotr Ratwiński. ODRĘBNOŚĆ NARODOWA W EPOCE ROMANTYZMU, ciekawe studjum z zawsze interesującej i pociągającej epoki romantyzmu. Zł. 1.50.

Barbara Bogusławska. KONGREGACJA TOWARZYSZY KUNSZTU DRUKARSKIEGO W KRAKOWIE W XVII I XVIII WIEKU. Książka niewątpliwie bardzo ciekawa, stanowiąca cenny przyczynek do historji naszego drukarstwa. Wydana bardzo starannie. Zł. 6.

Melanja Parczewska. PISMA, tom I. Kochająca ręka wydała ten pośmiertny tomik pism sasłużonej działaczki, rzucający ciekawe światło na stosunki i przeżycia lat ubiegłych. Zł. 10.

W ŚWIAT Z WIEŚCIĄ O POLSCE!



W świat z wieścią o Polsce wędrują oto „Krasnoludki" Marji Konopnickiej, zdziwione trochę tem, że im kazano mówić obcą mową angielską, ale zawsze rześkie, zawsze wesołe i pełne tej prawdziwej rzetelnej poezji, która na całym świecie, pod każdą szerokością i długością geograficzną mówi swoim swoistym językiem, zawsze dobitnym i zawsze zrozumiałym dla tych, którzy wogóle czują, co to jest prawdziwa, rzetelna poezja.

Idą nasze Krasnoludki trochę nieśmiało. Towarzyszy im sierotka Marysia, niebieskiemi oczami rozglądająca się trwożnie dokoła. Ani Krasnoludki, ani Marysia nosa jeszcze nigdy zagranicę Polski nie wyścibili, więc trochę im nieswojo i — jak to mówią — głupio. A nuż się nie spodobają tym obcym dzieciom z za morza, a nuż powiedzą im, żeby lepiej zostali w domu, w komorze u króla Błystka, za piecem u kmiecia Skrobka, na polskim zagonie i w polskim lesie, a nie włóczyli się po obcych ziemiach i wodach, gdzie mają swoich Krasnoludków i swoje Marysie-sierotki...

Ale nie! Krasnoludki nie boją się obcych dzieci. Obejrzały raz jeszcze prześliczne sukienki, które dla nich wyrysowała pani **Molly Bukowska,** wsłuchały się w czystą poetyczną angielszczyznę pani **Żuk-Skarszewskiej,** raz jeszcze pełną piersią odetchnęły tą wonią łąk i lasów polskich, która bije z każdego wiersza cudnej książki Konopnickiej, i ruszyły na podbój świata cywilizowanego, na podbój serc i duszyczek dzieci mówiących po angielsku.

Czy zwyciężą?

Jesteśmy pewni, że tak. Nie może nie zwyciężyć prawdziwe piękno i prawdziwa poezja, w które wielka poetka zaklęła najszlachetniejsze odruchy swego wielkiego serca. „Krasnoludki" muszą zwyciężyć, bo idą zdobywać dzieci, a dzieci całego świata muszą zrozumieć i odczuć piękno tej niezwykłej książki.

Szczęść wam Boże, małe Krasnoludki! Idźcie opowiadać o tem, jakie piękne książki piszą w Polsce dla małych dzieci, idźcie opowiadać o tem, jak starannie i artystycznie książki te są u nas wydawane — idźcie nauczyć miłości i uznania dla Polski, które nam są bardzo, bardzo potrzebne.

* * *

„Krasnoludki" Konopnickiej po angielsku są istotnie najlepszą chyba propagandą na rzecz Polski, jaką wyobrazić sobie można. Cudzoziemcy słyszą wprawdzie dużo o piękności naszej literatury, nie znają jednak polskiego, nie mogą się więc o tem przekonać naocznie. Muszą niejako wierzyć na słowo — „Krasnoludki" po angielsku to okazja zobaczenia na własne oczy, jaka to jest ta literatura w tym dalekim, obcym kraju, jaki jest jej poziom i charakter. „Krasnoludki" wprowadzić powinny Marję Konopnicką do Panteonu literatury wszechświatowej. Wraz z niemi dotrzeć tam winna wieść o całem naszem piśmiennictwie współczesnem.

Nie należy lekceważyć „Krasnoludków" tylko dlatego, że są książką dla dzieci. Nie ujmuje to ani ich wartości artystycznej, ani nawet nie umniejsza ich znaczenia jako znakomitego środka propagandy. Zamiłowanie do pięknej książki, wszczepione w wrażliwą duszę dziecka, odezwać się może po latach echem niespodziewanie silnem i wymownem. Z dziecka, które w zaraniu swych lat poznało i pokochało „Krasnoludków", wyrosnąć może zczasem szczery przyjaciel Polski i Polaków, któremu w duszy długo jeszcze brzmieć będzie koncert mistrza Sarabanty i radosny chór małych „Krasnoludków".

„Krasnoludki" po angielsku to nadto doskonała propaganda na rzecz polskiego przemysłu graficznego, polskich papierni i polskiej sztuki drukarskiej. Możemy być dumni z tego, co pokazujemy światu cywilizowanemu. Wydanie „Krasnoludków" po angielsku jest śmiałym eksperymentem, który powinien i musi dać rezultaty doskonałe.

POD ZNAKIEM WIARY I MIŁOŚCI

Pod znakiem wiary i miłości wędruje jasnemi szlakami twórczość

Zofji Kossak-Szczuckiej.

Cały jej dotychczasowy dorobek literacki stoi pod tym znakiem. „Beatum Scelus", „Z miłości", „Wielcy i mali", „Złota wolność", o której szeroko pisaliśmy w swoim czasie w miesięczniku „Książki"—wszystkie te utwory świadczą wymownie o kierunku zainteresowania ich autorki, o tej żarliwej miłości Boga, przejawiającej się w całym jej stosunku do życia, świata i ludzi, w każdem drgnieniu jej subtelnej duszy. Najpełniejszym wyrazem tej miłości jest nowa przepiękna książka Zofji Kossak-Szczuckiej, która p. t.

Szaleńcy Boży (zł. 36)

ukazała się ostatnio na półkach księgarskich.

Książka ta zawiera dwanaście legend o Świętych. Przez jej białe karty przesuwają się jasne postacie świętych: Andrzeja, Antoniego, Jerzego, Mikołaja, Hieronima, Orszuli, Józefata i Barlaama, Klary, Jadwigi, Sadoka, Franciszka, Ksawerego i Andrzeja Boboli — wszyscy oni przechodzą przed zdumionemi oczami czytelnika, zaskoczonego blaskiem tych świętych postaci, zachwyconego czarem, bijącym z każdego słowa tej dziwnej książki.

Kossak-Szczucka nie sili się na wyszukane słowa, nie szuka tematów zbyt zawiłych. Bierze poprostu przeczyste tematy, jakie dostarczyła jej ustalona tradycja i przekazanie ludowe i opowiada o nich jasne, świetliste historje słowami tak prostemi i jedynemi, jak prosta i jedyna jest jej wiara.

Dziwna to i niezwykła książka. Nadaremnie szukalibyśmy w naszej materjalistycznej literaturze dnia dzisiejszego podobnej. Wszystko ma w niej urok rzeczy prostych i koniecznych, które zdarzyć się musiały kiedyś, niezależnie od tego, czy działy się na skalistej Tebaidzie, czy w zapadłych puszczach poleskich, greckiego Myru, czy piastowskiego Krosna, cichych, białych wnętrz klasztornych, czy bretońskiej świetlicy królewskiej. Tworzywem i podnietą twórczą stała się tu dla autorki wiara, i wiara ta prześwietliła każde słowo tej pięknej książki.

„Szaleńcy Boży" wydani zostali bardzo starannie. Barwne ilustracje

Leli Pawlikowskiej

oddają doskonale gorącego ducha tej książki. Są proste, serdeczne, jak ona cała, wystylizowane ręką naprawdę mistrzowską.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Wp. L. Zaleska, Kalisz. Plebiscyt, który otwieramy w dzisiejszym numerze „Książek", powstał z inicjatywy naszych czytelników, którzy podsunęli nam ten — zdaniem naszem — doskonały pomysł. Jak więc Pani widzi, nietylko nie lekceważymy rad naszych czytelników, ale w miarę możności, uwzględniamy wszystkie ich życzenia i postulaty.

Wp. M. L. Warszawa. Wiersz wydał nam się wcale niezły, chociaż forma niezupełnie jeszcze opanowana i pewna. Narazie wierszy nie drukujemy zupełnie, nie jest jednak wyłączone, że otworzymy wkrótce specjalny dział, poświęcony poezji. Będziemy wtedy prosili naszych czytelników o pomoc.

Wp. Marja Kudelska, Łódź. Sprawa niewątpliwie bardzo ważna, niezupełnie jednak wchodząca w zakres zainteresowań „Książek". Możeby lepiej było zwrócić się w tej sprawie do jakiegoś pisma codziennego?

Wp. Quidam. Odpowiadamy pod podanym przez Panią pseudonimem, chociaż oczywiście w żadnym razie nie mogłaby go Pani używać w „Książkach", w których nasz stały współpracownik pisze od pierwszej chwili pod takim właśnie pseudonimem. Nowela Pani wcale niezła, narazie jednak nie skorzystamy, mamy bowiem tekę redakcyjną przepełnioną. A możeby Pani przysłała nam coś, w czemby nie było aluzyj politycznych, polityki bowiem boimy się w „Książkach", jak djabeł święconej wody.

Wp. Leon K., Wilno. Dziękujemy bardzo serdecznie.

Wp. Kazimiera Lubicz, Lwów. Zarzut niesprawiedliwy. Wogóle trudno się nam zgodzić na sąd Pani w tej sprawie.

Wp. Anna H-owa, Cieszyn. Bardzo dziękujemy. Pomysł dobry. Najpewniej wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów. Być może, iż wprowadzimy specjalny dział, w którym omawiać będziemy wszystkie bolączki naszego życia kulturalnego na prowincji i w większych miastach. Dać to może w rezultacie pewne wyniki wcale ciekawe.

MIESIĘCZNIK „KSIĄŻKI"

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Prenumerata roczna zł. 4.—. Numer 40 gr.

Redaktor: STANISŁAW ARCT. Wydawca: M. ARCT, Zakł. Wyd. Sp. Akc.

Redakcja i Administr. w Księgarni M. Arcta, Warszawa, Nowy Świat 35.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.